

16883 124 -90-

DWAJ KNIAZIE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVII WIEKU

PODŁUG

HENRYKA RZEWUSKIEGO.

OPRACOWAŁ

JAN KWIATKOWSKI.

Z 7 ILLUSTRACYAMI.



MIKOŁÓW—WARSZAWA.

NAKŁADEM KAROLA MIARKI.

1908.

33
Wkazy No 5.

SL 1e

LP 140

343987

I

K.-71/16889

16.12. 15,-





I.

Panowanie Jana Kazimierza smutnym było okresem dla Polski, ale obfitym w znacznych mężów i wielkie czyny. Nieomal cały kraj zawładnęli Szwedzi, więc po różnych częściach kraju pokazywały się oddziały stronników zrzuconego z tronu króla, a mężny Kordecki z swoimi zakonnikami i garścią szlachty, zamkniętej z nim w Częstochowie, wytrzymał oblężenie i odrzucał wszelkie warunki, ofiarowane mu przez najeźdźców do poddania się; wszystko to nie było jednak zdolne wydzwignąć upadłej sprawy.

Zarówno w licznych zamkach obronnych pany i zamożniejsza szlachta, przywiązani jeszcze do Jana Kazimierza, zamknęli się z swą załogą, z których niejedne Szwedzi zdobyli i pokruszyli, innych jednak zaniechali, będąc przekonani, że bez widoków jakiegokolwiek punktu oparcia się dla narodowego stronnictwa, wkońcu same bramy swoje otworzą. Europa obojętnie patrzyła na przygody Polski, a król obieralny nie wiele spółczucia wzniewał w sercach monarchów dziedzicznych, przed-

stawicieli swoich narodów. Sam Jan Kazimierz zwątpiwszy, opuścił Polskę i osiadł w swem księstwie na Śląsku. Jakaż albowiem nadzieja pozostać mogła przyjaciółom króla polskiego, kiedy tacy panowie jak Lubomirscy, Potoccy, Radziwiłłowie i inni, dotąd najgorliwsi zwolennicy prawowitego monarchy, weszli w umowy z Karolem Gustawem, a Gąsiewski, hetman litewski, przyjął nawet służbę u szwedzkiego zwycięzcy ze szczątkami wojska, któremu dowodził.

Karol Gustaw nie tylko że był szczęśliwym wojownikiem, ale jeszcze politykiem głębokim. Opierał się zaś na partyi dyssydentów (innowiercy i protestanci w dawnej Polsce), z którymi jednego był wyznania. Na czele tej partyi stali: Bogusław na Birżach książę Radziwiłł, marszałek litewski i Daniel kniaź Dorohostajski, wojewoda witebski. Obydwaj wyznawali naukę Kálwina i z tego powodu zawsze okazywali się nieżyczliwymi dla domu Wazów, a byli wsławieni w rzemiośle wodza i żołnierza. Coprawda na początku wojny stanęli w obronie kraju, ale gdy kilkakrotnie zmierzyli się z Karolem Gustawem, a zawsze ze szkodą, Dorohostajski był pierwszym, który odstąpił swojego pana i poszedł do jego spółzawodnika, a wkrótce i Radziwiłł poszedł za jego przykładem.

Wśród takich zamieszek namnożyły się w Polsce liczne oddziały stronników Jana Kazimierza, które z bronią w ręku pokazywały się po różnych

częściach podbitej Rzeczypospolitej. Oddziały te zachowywały bezwarunkowe posłuszeństwo swoim wodzom, a ci nie chcąc zhańbić prawdziwego nazwiska szubieniczną karą, na jaką w razie schwytania ich byli skazani, przybierali imiona zmyślane. Tak więc kto tylko powadził się ze sprawiedliwością urzędów, a władał orężem, garnał się do tych wodzów, znajdując u nich zawsze gotowy przytułek. Co było śmiałego hultajstwa w Polsce, zaciągnęło się pod ich znaki, a wodzowie po większej części nie byli lepsi od ich podwładnych. Ale byli także między nimi mężowie, którzy zachowali całkowite dziedzictwo szlacheckiego honoru. Jeden zwłaszcza od niejakiego czasu zjawił się między nimi, który słynął najrzadszemi cnotami, a dzielnością swoją wkrótce tak się wstawił, że potem ile razy działał łącznie z innymi wodzami, ci zawsze jemu byli posłuszni. Znano go pod imieniem Lizdejki. Kim on był rzeczywiście, nikt nie wiedział, to tylko było wiadomem, że nigdy nie dopuszczał swoim rabunku. To też w rycerzu Lizdejce wszyscy tęskniący za Janem Kazimierzem, wielką pokładali nadzieję, a Szwedzi i Rakoczanie, jako też Chmielnicki, zaczęli go uważać za strasznego od wszystkich innych wodzów, którzy błakali się po zdobytym kraju.

Jak już wspomniano, Bogusław Radziwiłł i Daniel Dorohostajski stali na czele partyi dyssydentów. Obaj ci panowie, lubo że okazywali sobie wza-

jemną życzliwość, w rzeczy samej przez długi czas skrycie się nienawidzili, bo naczelnictwo spółzawodu nie znosi. Stało się jednak, że wkońcu wszelka władza skupiła się wyłącznie w osobie Bogusława Radziwiłła, a książę Dorohostajski odtąd był jego najpowolniejszym podwładnym. A skąd zaszła tak stanowcza odmiana?

Książę Bogusław miał córkę Eleonorę, ubóstwianą przez siebie, na którą natura hojnie była zalała wszystkie powaby rozumu, serca i urody. To też mnóstwo młodych magnatów ubiegało się o jej przyjaźń, a panowie wyznania protestanckiego, pobudzeni duchem stronnictwa, skierowali swoją politykę ku zjednoczeniu nowym a ściślejszym węzłem przemożnej gałęzi Radziwiłłowskiego domu z partją, której przewodniczyła, zwłaszcza że książę Bogusław był jedynym magnatem, nawet między katolikami litewskimi liczącym wielu stronników. Że zaś między protestantami książę Dorohostajski nie tylko dostojęństwem, ale i ogromem majątków najwięcej był zbliżony księciowi, przeto wszystkie swoje usiłności połączyli, żeby go skojarzyć małżeństwem z Eleonorą. Sam książę jednak, mąż prawie pięćdziesięcioletni, lecz zawołany wojownik i serca nieustraszonego, jako też nadzwyczajnej siły, długi czas wzbraniał się przyjąć rolę zalotnika, zawsze od siebie wzgardzaną, mimo to widoki polityczne do tego go skłoniły i za pośrednictwem przyjaciół oświadczył się o rękę córki Bogusława.

Książę czując ważność podobnego małżeństwa, oglądał się jednak na niestosowność związku między dziewczicą siedmnastoletnią, a kawalerem podżyłym i na wpół zdziczałym. Wszakże nie życząc sobie obrazić drażliwego stronnika, odpowiedział, że jakkolwiek poczytuje za zaszczyt dla swego domu mieć kniazia Dorohostajskiego zięciem, wszakże przynaglać córki nie myśli. Upoważnia jednak kniazia do skłonienia ku sobie życzliwości księżniczki, zapewniając równocześnie, że dotąd Eleonora nie rozrzadziła swoim sercem.

Sam książę nie wiele wagi przywiązywał do tych wyrazów pocieszających, bo dość okiem rzucić na kniazia i księżniczkę, żeby aż nadto być przekonanym, że oni nie dla siebie stworzeni. Stary kawaler nie wiele mówił do niej, usiłując natomiast różnymi popisami zwrócić na siebie uwagę księżniczki. Gdy jednak dziewczica na wszystko okazywała się obojętną, zabierał się książę odrzeknąć od wszystkiego i niejednokrotnie wymawiał przyjaciom, że go wystrychnęli na dudka.

Wtem na zamku zaszedł jakiś wypadek, który zmienił całą sprawę. Długo o tem gadano po cichu w Birżach, lecz nikt tajemnicy nie wyjawiał. To tylko pewna, że jeden młodzieniec, którym książę opiekował się jakby własnym synem, nagle zginął, a książę Dorohostajski, z początku ciągle się burzący, potem niespodziewanie pokazał się uspokojonym. Najwięcej zaś wszystkich zdziwił zwo-

łany do Birżów przez księcia zjazd familijny, na którym wśród zgromadzonych krewnych i powinowatych kniaź Dorohostajski uroczyście poprosił księstwo marszałkostwo o rękę księżniczki Eleonory, na co zarówno dostojni rodzice jako też ich córka niespodzianie się zgodzili. Wkrótce też potem nastąpiły zaślubiny. To wszystko działo się przed czterema laty i odtąd Daniel Dorohostajski okazywał się posłusznym swojemu teściowi.

II.

Ośma z rana wybiła na zegarze zamku Birżańskiego, a już od godziny pokojowa szlachta zebrana była, oczekując w milczeniu rozkazów państwa. Wtem nagle odezwał się Dawid Odyniec, ulubiony dworzanin księżnej marszałkowej: Panowie bracia, niech to będzie między nami, ale od niejakiemu czasu ta służba dworska szalenie zaczyna mi ciężać, chociaż dawniej tyle miała dla mnie powabów.

— A to czemu — przerwał Hieronim Korbut.

— Gdyż zamek Birżański bez księżniczki Eleonory, jest to ciało bez duszy. Kiedy bywało, że księżna pani kazała mi zaśpiewać z księżniczką, zdawało mi się, że do siódmego nieba jestem zachwycony. A cóż teraz? ... zaprawdę, że ten obrzydły kniaź Dorohostajski w czepku się urodził, skoro taki anioł mu się dostał. Księżniczka w Dolsku musi być męczennicą, nikt mnie bowiem nie prze-

kona, że ten gbur umiałby sobie zjednać skłonność księżniczki.

— Radziłbym waszeci, mości panie Dawidzie, nieco być umiarkowańszym, wspominając o zięciu księcia, zwłaszcza iż zarówno waszmości jako i całemu dworu nie tajno, że ksiązę pan nie przynaglał swojej dostojnej córki.

— Bierz lichy dwór, kiedy tak! Już oddawna ta dworszczyzna mi kością w gardle stoi. Bezczytność, w jakiej żywot nasz pędzimy, kiedy wszystkò wre wkoło, tak mnie zawstydzia, że czasem oczu nie śmiem podnieść między ludźmi.

— Co takiego? — odezwali się wszyscy.

— Co? a czy wy ślepi? czy patrzeć nie chcecie, co się w kraju naszym dzieje? My tu gnuśniem na pańskiej pieczeni, gdy tymczasem bracia nasi okrywają się chwałą! Wyruszę w świat i będę się po nim błakał, dopóki nie napotkam którego z naszych; ale życzylibym sobie trafić na Lizdejkę, gdyż wcześniej czy później, będę wojował pod jego znakiem.

Tu wszyscy struchleli, a milczenie przerwał pan Uriel Potrosolin, jeden z najroztropniejszych dworzan Birżańskich.

— Zostaw te niewczesne żarty, panie Dawidzie. Jako, waszmość miałbyś sobie sprzykrzyć własne szczęście? Przecież sam jeden umiesz rozrywać tęsknotę księżnej pani za jej dziećmi i nieomal tydzień nie minie, żebyś nie otrzymał od niej jakiego

upominku. A książę pan kilkakrotnie wspominał, że zamierza waszeci wysłać do ks. Olbrachta, jedynego syna księcia pana, bawiącego na dworze kurfirsta Falcgrabi. My tak dobrze jakbyśmy go nie znali, gdyż był chłopięciem, kiedy go nasz książę odesłał na wychowanie do swojego dostojnego szwagra.

— To wszystko pięknie i nie taję, że mam wielkie obowiązki dla księcia pana i jego domu. Wszak człowiek nierad doczekać, żeby go kiedyś palcem wytykano, iż gdy inni wysługiwali się krajowi, on na rozkoszach dworszczyzny tuczył się jako bydlę.

— Alboż my nie służymy krajowi?

— Prawda, mimo to służba tamtych jest więcej odpowiednią mojemu sposobowi myślenia. Ot mówcie co chcecie, ale co do mnie, wyznam otwarcie, że wolałbym skończyć na szubienicy, niż tak żyć, jak wielu z tych rozsądnych ludzi, co się ogłosili przyjaciółmi króla szwedzkiego.

— A cóż im za bieda? — odezwał się pan Uriel.

— Co za bieda? a czyście nie mieli czasu na to się napatrzeć? Jużci Bogiem a prawdą, choć szczęście sprzyja dotąd Karolowi Gustawowi, to jednak mnie nikt nie przekona, iżby sprawiedliwość była za nim. Bo Jan Kazimierz jest prawym królem szwedzkim i polskim. A czyż to Suderman nie był poddanym króla Zygmunta. Na jakie więc lichy grody wieszają tych, co kieski z cudzych kieszeni

chwyatają, jeżeli poddanemu ma być wolno ukraść koronę swemu panu?

— Dalibóg, pan Dawid ma słuszość — odezwiała się większa część dworzan — tak mówi jak z książki. My wszyscy podzielamy jego zdanie.

Teraz z kolei wyrwał się pan Mogilnicki.

— To co pan Odyniec napomknął o księżniczce Eleonorze i kniaziu Dorohostajskim, nie jest nam sługom zbytecznie tajne. Wie bowiem każdy, że wojewodzie witebskiemu na każdym kroku okazywała wstręt, a serdeczną życzliwość dla Gaskolda, który według wszelkiego podobieństwa przypłacił to życiem. Albo to było komu upomnieć się o niego? Zwyczajnie sierota jak ja. Nikt nie znał jego rodziców, tylko pan stolnik zapewniał, jakoby szlachcicem był jak i my. Z początku co prawda krzywiliśmy się na niego, bo co wart choć szlachcic, skoro nie ma krewnych. Później wszyscy dobijaliśmy się niejako o jego łaskę. Był on mężny jak lew, a łagodny jak baranek, cóż więc dziwnego, że go księżniczka pokochała. Już trzy lata upłynęło, jak nam zniknął, a nic o nim nikt nie wie.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz wtem dzwonek dał się słyszeć i jeden z książęcych paziów stanął na progu otwartych podwoi, oznajmiając przybycie księstwa. Za chwilę też książę pan wraz z dostojną swoją małżonką przechodzili przez salę dworzan do kaplicy zamkowej. Po skończonem nabożeństwie wracając do swoich komnat, ks. Bogu-

sław na nikogo nie zwracał uwagi, dopiero gdy spostrzegł pana Dominika Haraburdę, dworzanina, na którego roztropności wielce polegał, zatrzymał się na chwilę i powiedział idącemu za sobą panu Odyńcowi: „Mości panie, waść bądź w pogotowiu z panem Haraburdą, bo będę z waszmościem miał do mówienia“, i już nie zatrzymując się, poszedł wraz z księżną do swojej pracowni, gdzie już oczekiwał go pan Jerzy z Konopnicy Grabowski, przed którym książę nie miał nic tajnego.

Książę Bogusław był to pan wspaniałomyślny, a jego słudzy i znajomi byli do niego przywiązani, bo wiedzieli, że źle na tem nie wyjdą. Małżonka jego, księżniczka falcgrafianka z domu, wniosła mu w posagu niezmierne dostatki i najrzadsze cnoty.

Dobra ta pani cieszyła się wielkością swojego małżonka i przywiązaniem wszystkiego, co ją otaczało. Dwa tylko smutne uczucia zamącały spokojność jej duszy. Jednem było oddalenie jej syna, drugie z powodu postanowienia jej córki. Bo lubo księżniczka sama zezwoliła na swoje zameżcie, to jednak troskliwe serce matki nie mogło uwierzyć w szczęście córki. Co prawda, nigdy nie wyszło słowo skargi z ust Eleonory, a książę zawsze okazywał jej największe uszanowanie, jednak to pewna, że smutki jakieś ją dręczyły, chociaż przyczyny nie umiała dociec. A co jeszcze więcej ją niepokoiło, że od przeszło dwóch lat nie miała żadnej stanowczej wiadomości od syna. Wówczas oznajmił rodzicom,

że dla ukończenia nauki stosownie do woli ojca udaje się wraz z uczonym Oldenkopffem do Anglii. Odtąd jednak wszystko ucichło, więc postanowiła wyprawić jakiegoś zaufanego dworzanina, któryby w Anglii upewnił się o pobycie tamże jej syna i pewne o nim przywiózł wiadomości.

Gdy weszli do gabinetu, zagadnęła księżna: I cóż jegomość myślisz uczynić?

— A cóż! jutro wyjeżdżamy do Warszawy. To, co przewidywałem, już zaczyna się spełniać; nie mam sobie nic do zarzucenia, bo nie przestawałem ostrzegać króla szwedzkiego, że posłuszeństwo stronników Jana Kazimierza jest tylko pozorne. Oto stało się, jak przewidywałem; Czarniecki wpadł na Szwedów zupełnie nieprzygotowanych i rozbił ich na wszystkie strony. Król szwedzki zawsze mimo woli puszczał moje rady i dopiero teraz, kiedy może jest zapóźno, przypomniał sobie, że Radziwiłł żyje. Wczoraj też odebrałem pismo od niego, w którem sam o wszystkim mi donosi i przywołuje do siebie. Moja tedy rzecz wiernie mu radzić, nie przestając walczyć za jego sprawę, bo gdyby ten jezuita Jan Kazimierz powrócił do Polski, to z pewnością nie pozwoliłby modlić się nam po lutersku! Dom Wazów, który Szwecyę wyzwolił z zabobonów obrządku rzymskiego, w Polsce zawsze był jego zapalonym zwolennikiem. Ze wszystkich zaś Wazów Jan Kazimierz w tym względzie jest najniegodziwszym.

— Ja innego zdania jestem o królu.

— Bo Jejmość jesteś kobietą i nie wierzysz w złość ludzką i w każdym człowieku dobrą upatrujesz stronę.

— Nie jest w moim zwyczaju stawiać jakiegokolwiek zdanie przeciwko osądzeniu Jegomości, ale jako małżonka ośmielam się przedłożyć to, co z własnych jego ust niejednokrotnie wyszło, że myśl o zgodzie bynajmniej szkody nie przynosi w prowadzeniu wojny. Dobrze więc byłoby wyprawić kogoś do księcia Lubomirskiego, ażeby nam doniósł, co też myślą zrobić z nami, gdyby jakimś cudem pozbyli się Szwedów i ich sprzymierzeńców.

— Niechaj i tak będzie — odparł ksiązę Bogusław. — Ponieważ zaś chciałem wyprawić do pani wojewodziny witebskiej, naszej córki, Dawida Odyńca z listem polecającym, żeby natychmiast opuściła Dolsk i udała się do Warszawy, gdzie i my się znajdziemy, więc w dodatku zmieniam postanowienie, żeby Odyniec jutro jechał szukać księcia Jerzego i oddał mu list mój własnoręczny. Hara-burdę zaś wyprawię, żeby mi odwiózł córkę wojewodzinę do Warszawy. Darmo bowiem córkę naszą w nieobecności jej małżonka narażać na możliwe oblężenie w swym zamku.

— Ale mości ksiązę — odezwała się z pośpiechem księżna. — Jeżeli poruszenia zaczynają się w kraju, czy nie będzie bezpieczniej dla naszej

Eleonory być poza wałami, niżeli przebywać góry litewskie i gościńce polskie?

— Niema się czego obawiać dla niej; między Dolskiem a Wisłą wszystko co żyje jest nam posłuszne. Co się zaś dotyczy Olbrachta, nadmieniam, że gdy się zobaczę z królem szwedzkim, uproszę go, żeby przez swoje poselstwa po zagranicznych dworach dośledził, gdzie nasz syn się obraca. Dochodzą mnie bowiem wieści, jakoby miał się pokazać na dworze Jana Kazimierza. Oto przybył tam jakiś młodzieniec, miał z królem dwugodzinną naradę, do której tylko królowa była przypuszczoną. Nadto w liście piszą mi, że po odbytej konferencyi siadł na konia i z jednym towarzyszem, z którym przybył, wrócił do Polski. Jakim sposobem przybyli, tak znowu wrócili i dopiero w okolicy Sandomierza ślad ich zatartym został. Jednak to szalone zdrowie, sześćdziesiąt godzin lecieć bez spoczynku! Spostrzeżono też, że król przy pożegnaniu ścisnął tego młodzieńca, a królowa dała mu rękę do pocałowania, skąd wniosek oczywisty, że młodzieniec musiał być wysokiego rodu. Ale to być nie może! prędzejbym uwierzył śmierci jednaka, niżbym przypuścił, że jakiś Radziwiłł z linii przewodniczącej protestantom tych trzech narodów, z jakich się składa Rzeczpospolita, mógł sprzyjać domowi Wazów.

— Dałby Bóg — przerwała księżna z pośpiechem — iżby wszystko to było prawdą. Od prze-

szło dwóch lat pierwszy raz doświadczam chwili pełnej radości.

— Jakto — odezwał się Grabowski. — Księżna pani mogłaby przenieść, żeby jej godny syn miał stanąć w szeregach nieprzyjaciół swego dostojnego ojca, jego wiary?

— Daj pokój Grabowski — odrzekł książę — kobiety nie przeprzesz. U niej rzecz cała, ażeby syn był przy zdrowiu, niech sobie trzyma z Janem Kazimierzem, niech zostanie papieżnikiem... byle tylko żyje, zresztą niech się plami nauką, niech go mają za podłego.

— Podłego! mości książę, chociażby Olbracht popierał sprawę Jana Kazimierza, jakkolwiek byłoby mi to przykro, to jednak nie widzę w tem podłości. Wszakże my wszyscy byli posłuszni królowi, a do najścia Szwedów nikt mu nie zaprzeczał prawości.

Książę zamyślił się i widać było, że w nim toczyła się walka między czułością ojca a nieugiętością wodza potężnego stronnictwa. Wreszcie tak się odezwał:

— Uspokój się jejmość, a zajmij się, aby na jutro wszystko było gotowe do podróży. Skoro zaś będziemy w Warszawie, o wszystkim prędzej i dokładniej się dowiemy. Panie Grabowski, waszmość pomagaj księżnie, a ja trochę sam zostanę. Proszę mi tu jednak przysłać Haraburdę i Odyńca.

Gdy tylko weszli, książę rzekł:



Listy te wręczysz waszmość naszej córce, pani
wojewodzinie witebskiej...

— Mości panie Haraburdo, postanowiłem z księżną udać się do Warszawy, a waszmości wyprawiam do Dolska z listami, które przed wieczorem odbierzesz. Listy te wręczysz naszej córce, pani wojewodzynie witebskiej. Ona po ich przeczytaniu wedle mej woli niezwłocznie wyjedzie do Warszawy, żeby tam ze mną się spotkać. Powierzam waszmości, żeby w ciągu tej podróży na krok jej nie odstąpił. Od dowódcy załogi zięcia naszego, który obecnie z wojskiem stoi na pograniczu województwa ruskiego, zażadasz z rozkazu mego 30 konnych dworskich żołnierzy dla ochrony wojewodziny. Sam nimi będziesz dowodził i aż nadto jestem pewny, że córkę naszą w całości do nas doprowadzisz, gdyż mądrej głowie dość na słowie. Ruszajże teraz do naszego krewnego Grabowskiego, a on waszmości wyprawi jak się należy.

Pan Dominik niziuteńko się uklonił i zostawił księcia z panem Odyńcem, do którego książę tak się odezwał:

— A teraz na waści kolej, którego do czego innego przeznaczyłem. Waści lůtnia teraz przydatniejsza od szabli, chociaż wiem, że w potrzebie umiesz się i z szablą obchodzić. Puścisz się więc w świat daleki, ażeby odnaleźć księcia Jerzego Lubomirskiego. Chciałem waści dać list do niego, ale namyśliwszy się, postanowiłem inaczej. Jesteśmy wszyscy śmiertelni, mości panie Dawidzie. Słowa

lecą jak ptaszki i giną w powietrzu, ale pisma nie umierają. Przecież mnie waszmość rozumiesz?

— Jakże nie, książę panie! Na co pióra, kiedy język może być tłumaczem myśli?

— Cieszę się, że waszeć mnie pojąłeś. Wiem, że nie jesteś nieżyczliwym królowi Janowi Kazimierzowi, chociaż posiadasz zaufanie tego, którego on uważa za najzaciętszego swego przeciwnika. Oto posłuchaj: Żyjemy w czasach trudnych. Rzucamy się w stronnictwa, jedni dla dogodzenia widokom osobistym, drudzy na oślep, bo mając przeświadczenie swojej słabości, dla własnego przeświadczenia tulą się do jakiejś siły, któraby ich broniła od napaści. Ale są i tacy, którzy chwytają za oręż, chcąc w ten sposób wydzwignąć ojczyznę. W tej liczbie i ja się mieszczę. Bo lubo szczerze sprzyjam królowi Szwedzkiemu, widząc w nim osobę, zdolną do zjednoczenia moich rodaków węzłem posłuszeństwa dla trwałego rządu, to jednak nie jestem jego bezwarunkowym stronnikiem, ani jego poddanym. Otóż waści posyłam do księcia Jerzego, żebyś wysledził, co tamta strona myśli z nami zrobić, jak się upewni, że los jej sprzyja? Czy podejmiesz przedrzeć się przez wszystkie oddziały szwedzkie i Kazimierowskie dla spełnienia moich poleceń?

— Chętnie, książę panie! Szabla, która jako u szlachcica, boku mego nie opuszcza, nie będzie wydobyta z pochwy, a lutnia i piosnki zapewnią

mi przyjęcie w każdym stronnictwie. Bądź księżę pan pewny, że tak się sprawię, jak się należy.

— Pamiętaj waszeć jednak, że cały dwór o niczem innem nie ma wiedzieć, tylko że wysyłam go z Haraburdą do naszej córki. A jeżeli nie powrócisz, wszyscy tu pomyślą, że przystałeś do jakiego oddziału Kazimierowskiego. Domagam się wszakże słowa szlacheckiego, że albo zginiesz, albo jak najrychlej zdasz mi sprawozdanie z narady z księciem Lubomirskim.

Następnie otworzył księżę swoje biurko i wyjął z niego kilka ładunków złota, suma wówczas znaczna, a wręczając ją Odyńcowi, dodał:

— Masz na kosztą podróży, a teraz bywaj mi zdrowy.

III.

Na drugi dzień ledwie z rana toczyły się dwa wózki po wielkim gościńcu, który prawie prostą linią przez Nowogródek i Pińsk wiódł podróżnych z Birzów aż na Ruś południową. Na jednym z nich siedział pan Dominik Haraburda, a obok niego pan Dawid Odyniec. Na drugim byli ich pachołkowie i lutnia pana Dawida.

Dni kilka już byli w drodze, a nic im się nie wydarzyło szczególnego. Gdzieniegdzie napotykali oddziały szwedzkie, które gospodarzyły jakby w własnym kraju. Na pozór wszystko tam było spokojne, król Jan Kazimierz już był zapomnianym,

a przynajmniej rzadko go wspomniano. Ile zaś razy nasi podróżni zapytywani byli od Szwedów, kim są i dokąd się udają, dość im było odpowiedzieć, że są słudzy księcia marszałka, wysłani od pana do jego córki, a zaraz doznali największej uprzejmości z ich strony.

Stało się tedy, że o dwie mile od Słonimia, miejscowości należącej do kniazia Daniela, wypadł im nocleg, a że jako słudzy ks. Bogusława z pewnością mogli liczyć na gościnność u podstarościego, zięcia ich pana, więc kazali się zawieźć na folwark. I w samej rzeczy gospodarz zaledwo się dowiedział, kim są jego goście, tak nimi się zajął wraz z żoną i jej matką, panią Korkuciową, jak gdyby sam pan starosta do nich był zawitał.

Rozmowa zaczęła się jak zwykle, dokąd jadą, na co pan Haraburda odpowiedział, że do Dolska, aby panią wojewodzinę zawieźć do Warszawy, gdzie już jej ojciec będzie ją oczekiwać.

Po spożyciu tedy obfitej wieszczy, udał się pan podstarości na spoczynek, a niedługo za nim podążył także pan Dominik, tylko Odyniec i staruszka, matka pani podstarościnej, nie uczuwali jeszcze potrzeby snu. Ponieważ zaś pani Korkuciowa zdradziła się, że za młodu była na dworze kniazów Dorohostajskich, więc dalej pan Dawid wypytywać staruszkę o bliższe ich stosunki, jako też dowiedział się, że książę Daniel miał za młodu jeszcze brata Stefana, który nie doczekawszy się późnego wieku,

zmarł na obczyźnie. Zakochawszy się bowiem we Wilhelminie, urodziwej córce nauczyciela swego Heldwiga, uciekł z nią do Prus, gdzie wbrew woli matki i brata pojął ją za żonę. Pani starościna tak się strapiła tym wypadkiem, że zapadła na zdrowiu i trzeba jej było rozstać się z tym światem, przyczem do ostatniej chwili nie dała się zmiekczyć względem kniazia Stefana. Zaś nasz pan terazniejszy o tyle był zawzięty na brata, że zagarnawszy cały majątek, ani słyszeć nie chciał o jakimkolwiek podziale. Książę Stefan natomiast z obawy przed kniazem Danielem, nie tyle dla siebie ile dla żony i synka, którym ich Pan Bóg pobłogosławił, nawet po śmierci matki nie przybył do kraju upominać się o swoje. Mimo to wszystko o tyle gryzło go i tak mu dopiekało, że niespełna w dwa lata po śmierci pani stanął przed sądem Bożym. Poprzednio jednak z miłości dla Wilhelminy przeszedł na łono Kościoła rzymsko-katolickiego, co pana naszego jeszcze więcej rozjątrzyło. I tak skończył, zostawiając wdowę i czteroletniego synka, którego potężny jeden magnat wziął do siebie, przyobiecując biedaczce matce, że wraz z synkiem jedynakiem pragnie go wychować dla pożytku kraju. Gdy już później dziecko wyrosło na gładkiego młodzieńca, każde nieomal poruszenie zdradzało, że musi pochodzić z wysokiego rodu, a przytem nadzwyczaj był podobny do ojca. Nakoniec nie wiem, co się w zamku tego pana stało, gdyż nagle młody

kniaź z niego zniknął. Teraz zaś od kilku lat niema żadnych o nim wiadomości.

Z tego wszystkiego, co tu pan Dawid słyszał, począł wnioskować, że owym kniazem Dorohostajskim nie był kto inny, tylko ów Gaskold, co się wychowywał w zamku Birzańskim z księciem Olbrachtem. Począł tedy panią Korkuciovę wypytywać, czy nie wie, gdzie młody kniaź i matka jego obecnie się znajdują, której ciekawości staruszka nie mogła zadowolić, twierdząc, że nie zna miejsca pobytu wdowy Wilhelminy; syn jej wszakże z pewnością będzie gdzie między stronnikami Jana Kazimierza, naszego prawego monarchy. Na tem skończyła się nieomal całonocna pogadanka, gdyż o szyby okien zaczęły się już odbijać pierwsze brzański światła dziennego. To też poważna matrona niebawem zniknęła w alkierzyku, a pan Dawid zgasiwszy dopalającą się świecę, na palcach poszedł do bocznej izby, żeby nie obudzić czujnego towarzysza i nierozebrany położył się na łóżko, a za ledwie głowę na poduszce ułożył, zasnął snem młodości.

IV.

Pan Dawid spał jeszcze niby zabity, a już towarzysz jego skończył poranne pacierze, opatrzył konie i krzątał się po izbie z pachółkami około pakunku. Nakoniec porwał za rękę śpiącego, potrząsnął nią silnie, wołając ażeby powstał. Chcąc

nie chcąc zerwał się tedy młodzian z pościeli, wyciągnął ramiona, umoczył ręcznik w wodzie, obtarł sobie wilgotnem płótnem oczy i był gotowym do podróży. Zjadłszy następnie śniadanie, pożegnali trząsnął nią silnie, wołając ażeby powstał. Chcąc nie chcąc zerwał się tedy młodzian z pościeli, wyciągnął ramiona, umoczył ręcznik w wodzie, obtarł sobie wilgotnem płótnem oczy i był gotowym do podróży. Zjadłszy następnie śniadanie, pożegnali podstarościego, a podziękowawszy za gościnność, polecili złożyć ukłony żonie jego i matce, poczem udali się w drogę. Jadąc, układali plan dalszej podróży i stanęło na tem, że przed Słonimiem pan Dawid przesiądzie na swój wózek, aby złożyć uszanowanie kniaziowi, bawiącemu obecnie w mieście, jak to im oświadczył podstaroście, gdy tymczasem Haraburda uda się do Dolska. Miał bowiem do Słonimia dzisiaj przybyć Gąsiewski, hetman wielki litewski, i dlatego też stawiał się tu książę Daniel, jako starosta, aby tak dostojnego gościa podejmować. Postanowiono nadto, że pan Dawid dopóty zabawi przy kniaziu, jak długo tego będzie potrzeba, a potem nieznacznie się wysunie z miasta i podąży za panem Haraburdą. Ani się też spostrzegli, gdy przed ich oczyma zaczęły się rysować wieże starościńskiego zamku i klasztorów Słonimskich. Pan Haraburda kazał więc zatrzymać woźnicy konie, a pan Dawid wyskoczył z wózka; uściskał się serdecznie z panem Dominikiem, a kiedy ten ostatni wyruszył, siadł

na swój własny, obok lutni wiernej swej towarzyszki i puścił się do Słonimia. Chociaż jako dworzanin księcia marszałka mógł zajechać prosto do starościńskiego zamku, nie skorzystał z tego, aby nie być w zależności od widzimisię wojewody. Szukał więc kwatery po domostwach żydowskich. Moźniejszy jakiś szlachcic widząc tedy zakłopotanie jego, ofiarował mu podzielić się z nim izdebką, co pan Dawid naturalnie przyjął z wdzięcznością. Bez wielu ceremonialnych ukłonów wymienili nawzajem swoje nazwiska, przyczem pan Dawid się dowiedział, że jego dobrodziej nazywa się Butrymowicz. Zaledwie też kilka minut upłynęło, a już tak rozmawiali poufale, jak gdyby byli z sobą beczkę soli zjedli, zwłaszcza że wkrótce się przekonali, iż tylko na oko są zwolennikami króla Szwedzkiego, gdy tymczasem w duchu sprzyjali Janowi Kazimierzowi. Nagadawszy się do syta, przywdziali wreszcie na siebie odświętne stroje i obaj na wózku pana Butrymowicza pojechali do warownego zamku Słonimskiego. Spostrzegłszy na dziedzińcu wojewodę siedzącego na ławie przed wrotami zamku, obaj wyskoczyli i pieszo przybliżyli się do niego, witając go niziutkim pokłonem. On zaś rzucił na nich okiem i powiedział: Kłaniam się waści, panie Butrymowicz, poczem spojrzawszy na pana Dawida, oświadczył, iż cieszy się z jego niespodzianego przybycia, pytając zarazem, czy nie przywozi z Bir-

żów jakiego listu. Na co Odyniec, że książę kazał mu tylko złożyć swoje ukłony, oraz i JW. wojewodzinie, a potem, jechać do Warszawy i tam wszystko opowiedzieć, o czemby się w tych stronach dowiedział. Kiedy go bowiem w te kraje wyprawiano, samo księstwo wybierało się do stolicy, życząc sobie, aby JW. pani wojewodzina także przybyła czas jakiś w niej przemieszkać z rodzicami; naturalnie tylko za wolą dostojnego jej małżonka. Wobec tego książę Daniel oświadczył, że nic nie ma przeciwko temu, dodając, że pani wojewodzina jest panią własnej woli. Następnie przeszła rozmowa na różne zwycięstwa Kazimierowczyków, przyczem książę nie zdołał dosyć nawyzywać się na ich przywódców, a najwięcej na jakiegoś Lizdejkę, który świeżo zdobył zamek Łukowski. Wkońcu zaś oświadczył panu Odyńcowi, aby wraz z nim oczekiwał przybycia pana hetmana; będzie miał stąd coś ciekawego do opowiadania księciu teściowi. Tak więc pan Dawid na wyraźne życzenie kniazia pozostał w Słonimiu, wyglądając z dnia na dzień przybycia zapowiedzianego gościa. Książę sromął się okrutnie, że z niego żarciki stroją, aż tu dziesiątego dnia przybył wreszcie posłaniec, donosząc, że straż hetmańska już w mieście, a sam hetman w kolasie z generałem szwedzkim Pontusem wjeżdżają na groblę. Książę wbrew myśli swego otoczenia skoczył na rumaka, dworzanie i wodzowie poszli za danym przykładem i cwa-

łem wyruszono za wojewodą. Pan Dawid dorwawszy konia, wcisnął się między nich uradowany, że wreszcie doczekał się hetmana. A huczne było przyjęcie, bo chociaż obaj panowie nie byli sobie przychylni, to jednak na oko wszystko szło jak najlepiej. Przy obiedzie już po trzecim półmisku wychylono zdrowie gościa, a tenże znowu z powinności powstał z krzesła i spełnił kielich na pomyślność gospodarza. Chcąc zaś dotknąć wojewodę, odezwał się niby z niechcenia:

— Mości wojewodo, żyj jak najdłużej dla ojczyzny, bo jak pożegnasz ten świat, żadnego Dorohostajskiego na nim nie zostawisz, któryby to świetne nazwisko przekazał potomności.

— Nie myślę jeszcze umierać, mości hetmanie, ani tracę nadziei cieszyć się potomstwem, lubo zgadzam się z wolą Bożą!

— Na taką nadzieję nie ma się co spuszczać, mości wojewodo, zwłaszcza że waszmość masz pewniejszy środek do zapobieżenia temu, by dobra jego nie przeszły w inne domy, gdyż ludzie mówią, że masz spadkobiercę krwi swojej. Cieszymy się też wszyscy, że młodszy jego brat nie zeszedł bezpotomnie, ale zostawił syna. Dziwi mnie tylko, że waszmość dobrodziej dotąd żadnego kroku nie uczynił, żeby tego kawalera sprowadzić do kraju. Wszakże on jest właścicielem jednej połowy domu Dorohostajskich, nim po śmierci dobrodzieja zostanie spadkobiercą drugiej.

— O nowych zupełnie dla mnie rzeczach pan hetman wspominasz. O żadnem też ożenieniu się mojego świętej pamięci brata ani wiem, ani chcę wiedzieć. Zresztą, jeżeli się znajduje ktoś, mieniący się być jego synem i roszczący sobie prawo do naszego imienia, poradziłbym mu, żeby tem nie obciążał władzy hetmańskiej, która ma zbyt ważne powołanie, aby miała się zatrudniać prywatnemi sprawami.

Na te słowa pan hetman zmarszczył brwi i sprzeczka zamieniłaby się w kłótnię, gdyby nie przytomność kniazia Wankowicza, który wznieśieniem zdrowia wnuczki pana Gąsiewskiego całą sprawę zatopił w strugach węgryzna. Obiad się skończył, po którym szwedzkiego wodza bez przytomności wyniesiono do komnat przeznaczonych gościom do spoczynku, a hetman lubo jeszcze stał na nogach, to jednak wyprosił się u gospodarza, aby pozwolił mu odejść. Już też i wojewodę zabierano się odprowadzić do przygotowanej pościeli, kiedy nagle wprowadzono pana Oleszę, gubernatora zamku Dolskiego, który na samym wstępie oświadczył, że Dolsk wpadł w ręce nieprzyjaciół kniazia. Zdobył go zaś ów tajemniczy rycerz Lizdejko. Jakkolwiek wojewoda był pijany, na te słowa zaraz wytrzeźwiał, ciekawie wypytyjąc o bliższe szczegóły. To też pan Olesza zaczął opowiadać, jak po wyjeździe JW. wojewodziny do Warszawy z panem Haraburdą, otoczył Dolsk oddział Kazi-

mierowczyków pod dowództwem owego Lizdejki, któremu do boku stał niejakiś Gaskold, ongi pokojowiec u dworu w Birżach. Otóż ci zażądali od szlachty, aby z woli króla i narodu wydała im zamek, na co się też bez ogródki zgodziła. Następnie rycerz Lizdejko kazał sprowadzić milicyę nadworną, oświadczając jej, że ów Gaskold jest nowym ich panem, czyli kniazem Wojciechem Dorohostajskim, synem kniazia Stefana, który umarł zagranicą z tęsknoty za krajem, gdyż za to iż się ożenił nie po myśli nieboszczki kniahini starościny i żyjącego kniazia wojewody, ci nie chcieli przyznać za swoją krew ani żony, ani też syna jego. Nie pomogły wszelkie moje protesty, mówił pan Olesza, a szlachta oszołomiona krzyczała: „Wiwat król Jan Kazimierz! Wiwat z jego ramienia rycerz Lizdejko.“ Następnie zaś wręcz oświadczyli, że kniazia Wojciecha mają za swojego, a kniazia Daniela znać nie chcą; jedynie Kozacy pozostali wierni swemu panu. Załatwiwszy się w ten sposób z załogą, powiedział mi rycerz Lizdejko: „Ruszaj sobie waść do swego pana i pokłoń mu się od nas.“ Równocześnie mianował jednego ze swoich, niejakiegoś Ogara, gubernatorem zamku, a ten rozbójnik zaraz wziął się do zarządu. Mniemany zaś kniaź Wojciech kazał wynieść na dziedziniec wszystkie srebra pańskie i odezwał się do nowoustanowionego gubernatora: Pożytkuj z tego bez wyrzutu sumienia, bo połowa jest moją wła-

snością, a o drugą jakoś się zgodzimy ze stryjaszkiem. Wszakże on dość długo użytkował z mojej własności.

— Tego się nie doczeka ów bękart — zaryczał kniaź Daniel. — Dawnoby go ziemia kryła, gdyby nie moja wspaniałomyślność. Ale ja go znajdę! Będzie on wisiał na wałach tego zamku, który zdrada mu otworzyła. Lecz mów dalej!

— Żałuję tylko bardzo — ciągnął pan Olesza — że Jaśnie pan ani Lizdejki, ani Gaskolda nie znajdziesz w Dolsku. Po oddaniu bowiem zarządu Ogarowi zostawili mu swoich ze sto, a natomiast zabrali jeszcze więcej z jazdy, jaką w zamku zastali, a co najboleśniejszego, że przywłaszczywszy sobie kasę pańską, której pilnowałem jako oka w głowie, w wielkiej części roztrwonili ją zaraz na miejscu, bo jakieś zaległe żołdy zapłacili i swoim i naszym, co do nich przystali. Ja z moimi Kozakami opuściłem zamek, ale uszedłszy parę mil, zostawiłem ich pod rozkazami mojego bokowego towarzysza, a sam wsiałem na wózek, żeby jak najprędzej dostać się do jaśnie pana.

— A to wyraźna kara Boża mnie dotknęła! Ja, który tyle lubiłem się chwalić z mojego Dolska, uważając go za twierdzę niezdobytą, straciłem ją bez oporu, a teraz pójdę na ludzkie pośmiewisko. W Bogu jednak nadzieja, że wkrótce powróci on w moje ręce. Cóż, kiedy ani Lizdejki, ani tego samozwańca w nim nie znajdę. Pójdę jednak zaraz

do hetmana, niechaj poradzi, kiedy z niego taki wielki wojownik.

V.

Na gościńcu ciągnącym się z Kocka ku Białej jest pagórek, wznoszący się nad płaszczyzną całej tej okolicy. Na nim przywabiała podróżnych karczma murowana Pinkusa Moszkowicza. Jakie były jego przekonania polityczne, o tem nikt z pewnością się nie dowiedział i nawet on sam przed sobą nie umiałby z tego zdać sprawy, ale mimo to wątpliwości nie ulega, że był gorliwym stronnikiem każdorazowego zdobywcy jego karczmy. To też gdy tylu innych zamożnych ludzi owe zamieszki wojenne do żebractwa przyprowadziły, jednemu Pinkusowi szły zawsze na korzyść. Obecnie Potusza, tak bowiem nazywano ową karczmę, znajdowała się w ręku Konfederatów czyli Kazimierowczyków, a silną załogą obsadzona, wielce utrudniała związki między królem Szwedzkim, zajmującym Mazowsze, a Brześciem i Pińskiem, gdzie się zebrała była siła Litwinów pod dowództwem hetmana Gąsiewskiego i kniazia Dorohostajskiego. W ciągu niespełna pół roku to Szwedzi, to znowu Litwini Gąsiewskiego usiłowali zdobyć Potuszę, ale Konfederaci zawsze byli szczęśliwsi i nieprzyjaciela ze stratą odparli. Z doświadczenia więc przekonawszy się o korzyściach zajmowanego stanowiska, coraz też więcej szanów sypano dla jego obrony,

tak że karczma ze swoim dziedzińcem wkrótce wyglądała jakby twierdza jaka. Dotychczas dowodził tutaj Rewera Potocki; gdy jednak udał się w województwo Bełskie, aby dla wspólnego działania przeciw Jurkowi Chmielnickiemu złączyć się z Jerzym Lubomirskim, zostawił w Potuszy silną załogę, na której czele stał Tomasz Zamojski, mając do boku nie tylko Świerszcza, ale nawet rycerza Lizdejkę, codopiero przybyłego z Wołynia, a poprzedzonego nową sławą, jaką sobie zjednał zdobyciem zamku Dolskiego.

Już chodzili wieści po kraju, że na wezwanie konfederacyi król się pokazał na ziemi polskiej i dąży do Bełzu, gdzie najdostojniejsi wodzowie dla przyjęcia go mieli się zebrać, a pan Tomasz Zamojski wciąż jeszcze stał ze swoją piechotą przed wałami Potuszy. Chcąc zapobiedz jakiemukolwiek podejsciu, część jazdy zwłaszcza nocną porą odbywała służbę wewnątrz warowni, a dozór nad tą strażą kolejno bywał poruczany jednej doby rycerzowi Lizdejce, drugiej Świerszczowi. Dzisiaj właśnie przypadła kolej na rycerza Lizdejkę. Noc była pochmurna. Doświadczony wódz porozstawiał placówki, a nakoniec zapewniwszy siebie i swoich od wszelkiego niebezpieczeństwa, zsiadł z konia i ze swoim ulubionym towarzyszem, kniazem Dorohostajskim, ale zawsze jeszcze noszącym imię Gaskolda, przechadzał się pieszo, aby nie zmęczyć koni. Chodzili kilka chwil w milczeniu, gdy na-

gle dał się słyszeć tentent koni, a za chwilę silny oddział przybliżył się do nich i w odległości kilkadziesiąt kroków stanął.

— Kto idzie? — krzyknął rycerz Lizdejko.

— Swój — odpowiedział dowódca oddziału.

— Niech żyje król Jan Kazimierz i jemu wierna Konfederacya Tyszowiecka!

Rozkazał tedy Lizdejko dowódcy przystąpić i niebawem poznał w nim dawnego znajomego, Grzeszniczka. Przywitawszy go, zapytał zaraz skąd przybywa, na co Grzeszniczek odparł, iż z pod Słoniimia, lecz do samego miasta dotrzeć nie mógł, bo tam z wojskiem litewskim rozgospodarzył się hetman Gąsiewski. Zebrawszy on siła wojska, zamierzał iść na spotkanie Konfederacyi, ale książę Dorohostajski od niego się odłączył, żeby odebrać swój Dolsk. Nie pomogły groźby ani prośby hetmana, bo książę wkońcu jednak na swoim postawił.

— Waszmość to wszystko powtórzysz panu Tomaszowi Zamojskiemu, który jest teraz naszym dowódcą — zauważył Lizdejko.

— Ale, ale! — dodał Grzeszniczek. — Oprócz różnych wiktuałów, które przywożę ze sobą, udało mi się po drodze złowić dwa ptaszki. I to wczoraj pewnego żyda, a dzisiaj nieomal pod samą Potuszą, jakiegoś szlachcica, którego podejrzewam, że musi być szpiegiem.

— I na czem to waszmość podejrzenie swoje opierasz?

— Bo w jego mowie jedno drugiego się nie trzyma. Dowodzi, że jest dworzaninem ks. Bogusława Radziwiłła a utrzymuje, że w te strony przybywa, żeby z naszymi się połączyć, gdyż sprzyja królowi Janowi Kazimierzowi. Powtórę mieni się być herbowym szlachcicem, a gra na lutni, jak Niemiec. Po trzecie twierdzi o sobie, że jest Litwinem, a znowu mówi, że ma ważną jakąś sprawę do księcia Jerzego Lubomirskiego, jakby to marszałek nadworny koronny mógł mieć sprawę z Litwinem!

— Co prawda, muszę przyznać słuszność wywodom przytoczonym, mimo to zostawimy postanowienia nad żydem i szlachcicem panu Zamojskiemu. Ponieważ jednak Gaskold, nasz kolega, zna wszystkich dworzan Birżańskich, więc proszę tego szlachcica na chwil kilka przed nami stawić. Gdy życzeniu temu zadosyćuczyniono, zapytał Lizdejko: Skąd i dokąd? i co jesteś za jeden?

— Dokąd się udaję? o to już nie mnie, ale waszmości panów zapytać trzeba. Jadę z Birżów, a po drodze zagrzałem w Słonimiu. Ale gdy miałem zaszczyt spotkać się z waszym oddziałem, który ma szczęście być posłusznym jaśnie wielmożnemu panu Grzesznickowi, nie mogę się żalić, żeby mnie chciał rozpieścić zbytkiem gościnności, bo wręcz mi oświadczył i wielką chęć powieszenia mnie na pierwszej gałęzi i żal, że tej chęci nie może skutecznić.

Tu Gaskold na cały głos się roześmiał wołając: Jak się masz Dawidzie? Wybacz, że po ciemku

cię nie poznałem i dopiero głos twój mnie oświecił. Ale wiedz, że stoisz przed rycerzem Lizdejką, którego pocziwy ziomek obawiać się nie potrzebuje. Pozwól wodzu, że ci przedstawię Dawida Odyńca, mojego wielce drogiego przyjaciela z czasów Birżańskich. On jest godzien ze wszech miar łaski wodza, a że mówi, iż chce przystać do nas, ja ręczę za prawdę jego słów. Zaś biegłość jego w muzyce bynajmniej nie uchybi zdolności rycerskiej.

— Wielce są pochlebne dla mnie te słowa JW. kniazia. Dowiedziałem się w Słonimiu, że pan odzyskałeś swój dziedziczny zamek zesprawą rycerza Lizdejki, którego po ciemku widzieć nie mogę, chociaż głos jego miałem szczęście gdzieś słyszeć.

— Nie, mój Dawidzie, jeszcze jestem dla wszystkich Gaskoldem, a dla ciebie być nim nie przestanę nigdy. Nie tracę też nadziei, że służąc pod rycerzem Lizdejką, to imię Gaskolda sprosta świetnością starożytnemu imieniowi Dorohostajskich.

Dalszą rozmowę przerwał Lizdejko, oświadczając, że noc się kończy, więc pójdzie z Grzeszniczką obudzić dowódcę, który też żyda wybada. Zdając zaś straż wewnętrzną Potuszy przez ten czas Gaskoldowi, zostawia mu na razie pana Odyńca, gdyż jako dawni przyjaciele, prawdopodobnie wiele mają z sobą do mówienia. Zostawszy sam na sam, oznajmił pan Dominik niezwłocznie Gaskoldowi o swoim poselstwie z Birżów do księcia Jerzego Lubomirskiego, z czego młody książę wielce

się ucieszył, mniemając, że wszystko winien powtórzyć przed rycerzem Lizdejką, a niebawem zaskarbi sobie jego łaskę. Zarazem nadmienił, że marszałek koronny, książę Lubomirski, ma nadzieję wkrótce do siebie przyciągnąć wszystkich stronników partyi szwedzkiej, a nawet hetmana Gąsiewskiego, poczem Jan Kazimierz niewątpliwie odzyska utraconą koronę. Ponieważ zaś pan Dominik wyraził przekonanie, że wie kim jest rycerz Lizdejko, więc mu Gaskold stanowczo oświadczył, ażeby nie usiłował domyślać się tajemnicy u swoich, albowiem żyją w czasach trudnych i wywołanie na nich cięży, sama przeto roztropność nakazuje im taić właściwe nazwiska. Być może, iż rycerz Lizdejko jest tem, czem się wydaje, nigdyby jednak nie przebaczył osobie, któraby usiłowała ową tajemnicę przeniknąć. Jest to mąż nadzwyczajny, chciwy nauki, a po mieczu muzykę najwięcej miłuje. Wina nie pije, przyczem ostrzejszy dla siebie, niż pustelnik z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Czas szybko mijał, więc ani się spostrzegli, jak oddział Lizdejki został zluzowany, poczem wrócili do Potuszy. Tutaj Gaskold zameldował swój powrót generałowi dziennemu, a odkładając przedstawienie Dawida Odyńca JW. Zamojskiemu na dzień następny, poszedł z ulubionym towarzyszem do swej kwatery.

*

*

*

Pochód kniazia od Słonimia do Dolska odznaczył się gwałtem i okrucieństwem. Nakoniec stanął na gruncie księstwa Dolskiego. Popłoch był wielki między podstarostami, którzy administracją folwarków podzielili się na korzyść kniazia Wojciecha, to też wielu z nich pouciekało z rodzinami w sąsiednie lasy, niezadługo jednak znowu wrócili, gdyż kniaź skoro tylko przybył do swoich dóbr, nagle się odmienił, okazując się łagodnym i wyrozumiałym, o wszystkich zdrożnościach niby to zapominając. Oświadczył im też, iż za złe im nie bierze, że ulegli przemocy, owszem czuje dla nich wdzięczność, albowiem przechodząc w służbę samozwańca, zachowali tem samem porządek w jego dobrach.

Ogar o wszystkich poruszeniach kniazia uwiadomiony, poznał, że położenie jego było krytyczne. Zamknął się więc, ściągawszy do siebie wszystkich co pod nim służyli, a kniaź Daniel na czele dobrze wypoczętego wojska postąpił ku zamkowi i rozpoczął szturm. Żołnierze Dorohostajskiego uporczywie drapali się na wały, ale Kozacy dzielnie bronili swoich murów i z nich spychali oblężenców. Kniaź, jakkolwiek uniesiony gniewem, przecież poznał, że tylko ludzi marnuje, więc nakazał odwrót, straciwszy z półtorasta żołnierzy. Nie zaniedbał też wszelkich środków ostrożności, ażeby się upewnić od możliwego nocnego napadu przez uzuchwalonego pomyślnością Ogara. Po dwu dniach odpo-

czynku rozkazał pospędzać żony i dzieci wszystkich Kozaków załogi zamkowej, co ich onegdaj od szturmowania odparli i całą tę tłuszcę w porządku ugrupowawszy, zawiódł jak niewinne owce do rzezi na przedzie swego żołnierstwa aż pod mur zamku, oczekując póki się rozwidni. Brzask dzienny pozwolił nareszcie rozpoznawać przedmioty, a równocześnie zamknięci Kozacy poznali swoje żony i dzieci, jako też dawnego swego pana. Ten kiwnął ręką na znak, że chce mówić i tak się odezwał:

— Kozacy! póki jeszcze pora, słuchajcie ostatniej mojej przestrogi. Jeżeli powiążecie waszą starszyznę, a mojemu wojsku otworzycie bramę zamkową, daję wam słowo, że pełne otrzymacie przebaczenie. Jeżeli zaś odrzucicie moją łaskę, natychmiast przypuszczę szturm, a wasze żony i działki utorują nam drogę do tych murów.

Oczywiście, że słowa te dopięły celu i napróżno Ogar stojący na wałach, prośbą i groźbą zachęcał Kozaków do strzelania. Położenie jego od razu było tak smutne, że nie pozostało mu nic innego, jak myśleć o własnym i ludzi swoich ratunku, których miał blisko pięćdziesięciu. Dwóch swoich obłożnie chorych umieścił przeto w karocy Kniazia, reszta ochotników siadła na koń i tak opuścili twierdzę mostem przeciwnym od bramy, gdzie się pokazał kniaź. Ale zaledwie Ogar pokazał się za murami, a już ze wszystkich stron został otoczonym. Musiał tedy opuścić karocę, wiedząc



Kozacy! póki jeszcze pora, słuchajcie ostatniej mojej przestrogi...

zaś, co czekało jego i swoich w razie schwytania, postanowił drogo opłacić życie. Wtem o kilka kroków od siebie poznał kniazia, idącego na niego z koncerzem (dzida, także gatunek dawnych mieczów). Na jego widok Ogar uchwycił swój garłacz (dawniej używana strzelba, której lufa była w wylocie szersza niż u zamka) i dał ognia. Koń kniazia wstrząsł się, a po chwili sam Dorohostajski przerażliwie jęknął, zwieszając się na szyję konia. Żołnierze przyskoczyli na ratunek pana, powstało zamieszanie, z czego Ogar korzystając, rzucił się ze swoimi na punkt, który mu się wydał najslabszym. Udało mu się też przełamać wahających się w szeregu żołnierzy i mimo pogoni, wraz z 40 ochotnikami stanął wreszcie w bezpiecznem miejscu.

*

*

*

Wracał powoli do zdrowia książę Dorohostajski, a zarazem do czynnego życia. Zaledwie mógł wstawać z łóżka, a już zaczął myśleć o swoich więźniach z oddziału Ogara, których tenże mimo swej usilności nie zdołał wyratować. Bez skrupułu kazał ich też powiesić, odmawiając im nawet księdza, o którego przed śmiercią prosili.

Jednego wieczoru, kiedy jak zwykle siedział znudzony, doniesiono mu o przybyciu nowego gościa. Był to Joś Dreczkier, żyd rodem z Kocka, ale ważna figura owego czasu. Był on liwerantem Szwedów i panów polskich z nimi związanym,

czem wkrótce dorobił się ogromnego majątku i przyszedł do niemałej wziętości, że nawet do króla Karola Gustawa miał wolny przystęp. To też Jós Dreczkier rozciągał potęgę nad żydami Korony i Litwy, on im dawał rozkazy, a wszyscy go słuchali jakby jakiej wyroczni. Miał on nadto niepospolity dar, wiedząc jak najlepiej przypodobać się panom.

Skoro więc oznajmiono kniaziowi przybycie Dreczkiera, tak okazał się zadowolonym tą nowiną, że gdyby się czuł zdrowszym, może byłby wybiegł naprzeciw żydowi. Gdy tedy wszedł, uchwycił go kniaź za brodę na znak życzliwości i rzekł:

— Witam cię, pocziwcze! Skąd jedziesz i co mi przynosisz nowego?

— A z domu, jaśnie panie, to jest z bryki, bo od czterech lat na niej jestem gospodarzem, a w domu tylko gościem. Bawiąc zaś w tych stronach, nie mogłem opuścić Dolska, aby jaśnie panu wojewodzie nie powinszować szczęścia odzyskania Dolska i rozczulić się nad jego nieszczęściem na zdrowiu.

— Tać to, mój kochany, niema czego ani tak bardzo winszować, ani też ubolewać. Odebrałem co swoje, a to nie bez szkody i na tem kwita.

— Więc jaśnie pan nieprzyjacielowi, co mu tyle szkody narobił, tak szybko przebaczył? To już chyba anielska dobroć!

— Ze wszystkich ludzi dwóch tylko jest na świecie, co mi są w oku solą. A tymi są ów bękart, ostrzący sobie zęby na moje imię i majątek,

i jego zwolennik Lizdejko. Mógłbym ja tego ob-szarpańca Gaskolda dawno się już pozbyć, ale uniosłem się rycerską wspaniałomyślnością, bo gdzie czart nie może dać rady, tam babę poszle. Darmo jednak; trzeba mi obydwu zgubić, chociaż-bym pospołu z nimi musiał zejść z tego świata.

— Na co jaśnie pan ma się niszczyć, kiedy i bez tego można ich zgubić? Wszystko pójdzie jak po maśle, gdyby tylko jaśnie pan tego zechciał.

— Powiedz kochany Josiu, a jeżeli dobre, bądź pewny sowitej nagrody.

— Niechże więc Jaśnie pan mnie posłucha. Oto jak wiadomo, Konfederaci okopali się na górze w Potuszy, gdzie niema ani miasteczka ani wioski, tylko jedna karczma murowana. W niej siedzi arendarz Pinkus, mój swat; od niego też dowiedziałem się, że z piwnicy karczemnej wiedzie do gęstego lasu droga podziemna, którą z łatwością możnaby w nocy wojsko szwedzkie doprowadzić do okopów Potuszy i tak znienacka napaść na tych, co składają jej załogę, a równocześnie zgubić Lizdejkę i Gaskolda.

— Josiu, choć z ciebie żyd, tyś mi więcej aniżeli brat, tyś mój dobrodziej. Cóż to jednak wszystko pomoże, kiedy człowiekowi jeszcze nie wolno się ruszyć, a żaden zastępca równie gładko rzeczy nie poprowadzi.

— Wszystko pójdzie, skoro tylko Jaśnie pan zastosuje się do mojej rady. Oto generał szwedzki

Redyng stoi teraz o cztery mile od Potuszy, do niego przeto winien Jaśnie pan przeze mnie napisać, że ja mam sposób, ażeby Potusza jemu się dostała, byle tylko mnie samemu zupełnie zaufał. Z listem ode mnie do Pinkusa wyprawię natomiast mojego syna, który obecnie tutaj ze mną bawi, nauczając go we wszystkim, co ma robić. Żydek zwyczajnie pojedzie w odwiedziny do żony i dzieci, będących w tej chwili u starego Pinkusa. Tenże tylko czeka na uwiadomienie, poczem wszystko przygotowuje i wyprawi zięcia, który generała sam poprowadzi przez lasy i podziemną drogę w sam środek Potuszy.

Chcąc nie chcąc zabrał się tedy kniaź do pisania, przerywając znuдную pracę przekleństwami, że do niej jest zmuszony. Ukończywszy, powierzył Josiowi dokument, który Dreczkier niezwłocznie schował za pazuchę. Następnie pożegnał kniazia i wyszedł.

*

*

*

Pan Tomasz Zamojski nagle wezwany do Lwowa do króla Jana Kazimierza, zlał wszelką władzę nad załogą w Potuszy na rycerza Lizdejkę. To też z kolei jemu przypadało prawo sądzenia owego żyda, którego po drodze złowił Grzeszniczek. Stosownie do rozporządzenia nowego dowódcy, zasiadło utworzone z rycerzy koło sądownicze, urząd zaś pisarza spoczywał w ręku nieodstępного towarzysza i sekretarza Lizdejki, znanego pod nazwą Domarata. Był to mąż sędziwych lat, ale czerstwy,

a zdawał się być uczonym, bo rycerz z nim rozmawiał licznymi, ale nieznanymi językami. Polskim także władał doskonale, mimo to poznać było można, że jest cudzoziemcem. Kim był rzeczywiście ów sekretarz, to zagadka niedocieczona, jak prawdziwe nazwisko jego pryncypała. Wszyscy go jednak lubili, zwłaszcza że będąc biegłym w sztuce lekarskiej, niejednemu wojakowi zdrowie przywrócił. Zauważono, że rycerz Lizdejko nie tylko ufność, ale nawet jakiś rodzaj uszanowania mu okazywał, co samo już wystarczało, aby mu zapewnić niemalą powagę między obrońcami sprawy króla Jana Kazimierza.

Gdy tedy żyda wprowadzono do namiotu, na samym wstępie poznano w nim Godela Josiowicza, zięcia arendarza karczmy Potuszowskiej, a syna Dreczkiera, liweranta wojsk szwedzkich. Nie pomogły wszelkie obietnice, bo żyd do niczego nie chciał się przyznać, więc go rozebrano w celu przeszukania jego odzieży. Wreszcie z pończochy wytrząśnięto list zapieczętowany i adresowany do Pinkusa. Chciano obwinionego natychmiast powiesić, czemu stanowczo oparł się Lizdejko, twierdząc że jeszcze zupełnie go nie potępia, a wkońcu rozkazał, aby Godela odprowadzono do ciemnicy. Na dany znak wszyscy rozeszli się, tylko Lizdejko z Gaskoldem i Domaratem zostali w namiocie. Zasiadłszy następnie przy stole, wyjął Lizdejko z kieszeni list, który Domarat uwolnił z koperty bez uszkodzenia

pieczęci. Był to zaś nader ważny dokument, albowiem w nim Dreczkier wypisał się z wszystkiego, aż do najdrobniejszych szczegółów. Tak więc o szpiegostwie Godela nie było najmniejszej wątpliwości, a ponieważ w ostrzeżeniu tem widziano palec Boży, przeto z wszystkiego postanowiono jak najściślej skorzystać. W tym celu przywołano żydą, który wybladły i wychudzony zdawał się już godzić z swym losem. Długo trwało milczenie w jego przytomności, nakoniec rycerz Lizdejko tak się odezwał:

— Posłuchaj żydzie! Cały twój niecnny postępek jest nam wiadomy i sam czujesz, żeś zasłużył na karę śmierci. Twój ojciec cię wciągnął do zdrady, której mieliśmy paść ofiarą, gdyby ten sam Bóg, czczony zarówno od chrześcijan jako i od żydów, nie zniszczył waszych zamiarów. Związano cię przysięgą, że niczego nie zaniedbasz, ażeby do skutku doprowadzić to, co ci powierzono. Odpowiedz, jest tak czy nie?

— Tak jest; państwo wszystko wiecie, bo Pan Bóg z wami — i lży puściły mu się strumieniem.

— Chociaż wykonałeś przysięgę w niegodziwym celu, to jednak sprawiedliwość winna ci być oddaną, że z męstwem i godną uznania wytrwałością umiałeś jej dotrzymać.

Ofiarowaną przez nas łaskę odrzuciłeś, powinieneś więc umrzeć, jednakże możesz zyskać przebaczenie, skoro zgodzisz się na podane warunki.

— Ja wszystko przyjmuję, byle panowie nie wymagali, abym się dał ochrzcić.

— Czego innego żądamy po tobie. Widzisz ten list, który nosiłeś przy nodze; śladu niema, że był czytany. Po wypuszczeniu oddasz go więc twojemu teściowi, w niczem się nie zdradzając, co tutaj zaszło. Zaś z tem, co ci da Pin-kus, pojedziesz do twojego ojca; zaprowadzi cię on do generała Redynga i podejmiesz się po szabacie wprowadzić żołnierzy szwedzkich do tego podziemnego kanału, co styka się z piwnicą twojego teścia. Gdy w piątek wieczorem przed szabasem stanie tu żydek, niby to posłaniec od ciebie do twojego teścia, już będę rozumiał, co to ma znaczyć. Jeżeli to moje zlecenie sumienie wypełnisz, dam ci słowo rycerskie i szlacheckie, że nie tylko zostaniesz nadspodziewanie wynagrodzony, ale nadto włos nie spadnie z głowy zarówno twojego ojca, jako też i teścia, a nikt oprócz nas nigdy wiedzieć nie będzie, żeś z nami się porozumiewał.

— Zaręczam wam, szlachetni panowie, że wszystko stanie się, jak chcecie.

Ażeby jednak zapewnić wiarogodność swych słów, musiał złożyć przed Domarałem przysięgę według obrządków żydowskich, poczem go wypuszczono na wolność.

*

*

*



Tak jest; państwo wszystko wiecie, ba Pan Bóg z wami!...

Straszną była klęska, jaką rycerz Lizdejko, uwiadomiony o przybyciu oddziału wojska szwedzkiego, zadał generałowi Redyngowi. Około tysiąc wojowników z tegoż załogi udało się bowiem Kazimierowczykom zatarasować w podziemnym kanale, dokąd ich zaprowadził Godel Josiewicz, nadto pewna część legła na polu walki, a resztę zabrano do niewoli. Korzyści były wprost niespodziewane. Rycerz Lizdejko poległych kazał pogrzebać, a na-
zajutrz wyprawił Dawida Odyńca do Zamościa, gdzie król, i generalicya wedle najświeższych wiadomości mieli się znajdować. Własną ręką napisał do króla sprawozdanie i powierzył takowe Odyńcowi, polecając go łasce króla Jegomości i dodając, że zawsze wierny królowi, spełniać będzie wszelkie jego rozkazy.

VI.

Był to dzień pamiętny dla całej Polski, kiedy król Jan Kazimierz po kilkoletniem wygnaniu odbywał wjazd do Brześcia, przywołany tamże przez hetmana Gąsiewskiego, który do takiego postępku przynaglony został wolą obywatelstwa. Hetman wyjechał do Sławatycz, gdzie Jan Kazimierz stał obozem i tam padł do nóg królowi, oddając siebie z wszystkiem wojskiem pod jego rozkazy. To też król przyjął go nie tylko z łaską, ale nawet z wyszukaną uprzejmością. Atoli u bramy miasta oczekiwali monarchę starosta brzeski na czele urzędni-

ków ziemskich i grodzkich, jako też i szlachty. Był tam również wójt z ławnikami i mieszczaństwem, do których przyłączył się Joś Dreczkier z synem swoim Godelem.

Przebiegły żyd dowiedziawszy się o nieszczęśliwym przebiegu wyprawy na Potuszę, był pewien Opatrzności nad wojskiem polskim, bo syn jego Godel nawet później przed nim się nie zdradził, że prowadząc Szwedów, służył już stronie przeciwnej. Obawiając się tedy szubienicy, postanowił Dreczkier odtąd unikać nie tylko wojsk szwedzkich, ale także oddziału pozostającego pod dowództwem rycerza Lizdejki, a kiedy Godel przybył z żoną i dziećmi do Brześcia, zapewniając ojcu, że szlachetny ten Kazimierowczyk najmniejszej nie ma zawziętości przeciw tym ziomkom, co byli po stronie szwedzkiej, wtenczas Joś Dreczkier niebawem oświadczył się za stroną polską.

Jan Kazimierz okazał się rozczulonym, zawierając poniekąd nowe przymierze ze swoimi poddanymi, martwiło go tylko, że książę Bogusław ciągle jeszcze trwał w swoim uporze. Wówczas nadmienił Jerzy Lubomirski, hetman polny, że temi dniami zawitał doń z wiadomością jeden szlachcic z liczby tych, co są posłuszni obecnemu tutaj rycerzowi Lizdejce, oświadczając w imieniu księcia Radziwiłła, że tenże nie przestaje tęsknić za swoim panem i dotąd nie jest tak dalece związanym z Szwedami, aby ich nie mógł opuścić, byle był pewny, że da-

wna łaska Waszej Królewskiej Mości zostanie mu wróconą. Nazwisko rzeczzonego szlachcica Odyniec, a znane jest na Litwie.

— Gdyby nawet mściwość była w naszym przyrodzeniu — rzecze król — on jeden nie miałby powodu jej się obawiać, gdyż wielkie mamy obowiązki dla jego domu. Proszę go też podobnie uwiaśdomić. Oto wiedźcie, Mości panowie, że w osobie rycerza Lizdejki widzicie Księcia Olbrachta Radziwiłła, jedyne go syna księcia marszałka. Lubo cały jego dom wraz z rodzicami uległ zwyciężskiemu Szwedom, on sam z uczonym swoim nauczycielem Oldenkopferem ofiarował nam swoją wierność i usługi. Co zaś pod imieniem Lizdejki dokazywał, wam wszystkim wiadomo. Chcąc zaś jako tako wypłacić dług wdzięczności, ofiaruję mu dostojęństwo generalstwa artyleryi Litewskiej i nie wątpię, że wszyscy z tego będą zadowoleni.

Książę Olbracht ukląkł przed królem i ucałował rękę dobroczynną swojego pana, zaznaczając, że we wszystkich zwycięstwach i trudach wiernie dopomagał mu Gaskold, a raczej książę Dorohostajski, który od rodzzonego swojego stryja został wyzuty z majątku; w imieniu towarzysza broni i przyjaciela błaga więc teraz u majestatu o wymierzenie sprawiedliwości, co też król Jan Kazimierz uczynić przyobiecał.

To rzekłszy, skinieniem głowy pożegnał król panów i szlachtę zebraną, odchodząc do swojej

kwatery w towarzystwie hetmana Gąsiewskiego i rycerza Lizdejki.

*

*

*

W obozie pod Sławatyczami wszystko spało, jeden tylko rycerz Lizdejko czuwał w swoim namiocie, zajęty pisaniem listów do najdroższej matki, ulubionej siostry, a nadewszystko do ojca. Na słomie leżał książę Dorohostajski, a Dawid Odyniec głową oparty o poręcz krzesła księcia Olbrachta, chrapaniem przerywał ciszę. Słońce już zaczynało wschodzić, kiedy Lizdejko ostatni list dokończył, a zapieczętowawszy i podpisawszy koperty, obudził swoich towarzyszy. Książę zaczął się też niezwłocznie ubierać, a pan Dawid wcale nierozebrały, stanął na równych nogach. Teraz książę powierzył Odyńcowi listy, zalecając mu, ażeby jak najspieszniej starał dostać się z nimi do Warszawy, gdzie dostojni jego rodzice z córką jeszcze przebywali. Jako towarzysza podróży zezwolił mu wziąć z sobą ochotnika Jakóbczaka, a ponieważ książę Wojciech ofiarował się za giermka Dawidowi, pragnąc w ten sposób ujrzeć się z matką swoją, bawiącą także w Warszawie, więc książę mimo że niechętnie, wkońcu na to przystał, upominając go, ażeby się niepotrzebnie nie narażał na niebezpieczeństwo, gdyż trudno byłoby mu żyć bez niego. Czułe było pożegnanie obydwu przyjacieli, poczem nasza trójka niebawem udała się w drogę. Po kilku

dniach uciążliwej jazdy stanęli wreszcie na ostatnim już popasie przed przybyciem do Warszawy. Konie zdawszy tedy na pieczę Jakóbczaka, weszli do wnętrza gospody, a zjadłszy wieczerzę, niebawem udali się na spoczynek, zaznaczając, że jutro przed świtem ruszą w dalszą drogę.

*

*

*

Po przybyciu do Warszawy, kniahini wojewodzina Witebska zajęła ze swoim dworem lewe skrzydło zamku Radziwiłłowskiego. Tutaj po długiej niebytności w stolicy odwiedziła ją też najdroższa jej przyjaciółka, Elżbieta Sapieżyna. Nacieszywszy się sobą, obie przyjaciółki zaczęły zwierzać tajemnice serca swego, a Eleonora mówiła:

— Jak ci wiadomo, było nas dwoje dzieci u rodziców. Mój brat Olbracht, cztery lata ode mnie starszy i ja. Olbracht doczekał się lat dziesięciu, ja miałam siódmy, kiedy nasz ojciec powracając z długiej podróży, przywiózł z sobą chłopczyka tych samych lat co mój braciszek. Nic o nim nie wiedzieliśmy, tylko że jest sierotą z rodu szlacheckiego. Zaledwie Olbracht i Gaskold się zapoznali, bo tak sierotce było na imię, zaraz serca ich połączyły się nierozzerwalną przyjaźnią. Z tej przyczyny długi czas był mi Gaskold niemiłym, gdyż tylko ja sama chciałam miłość brata posiadać, nareszcie jednak wstręt ustąpił miejsca gorącej przyjaźni. Wszystkie zabawy były nam wspólne, lata

mijały, żeśmy wcale nie spostrzegli, jak doszłam roku czternastego. Kochałam i byłam kochaną, nie wiedząc co to jest miłość, a rodzice obojętnie patrzeli na naszą przyjaźń dzieciinną i nic innego z niej na przyszłość nie wnioskowali, tylko że kiedyś Gaskold będzie wiernym sługą mojego brata. Z powodu zamieszek w tym właśnie czasie powstałych w kraju, książę ojciec postanowił wyprawić Olbrachta do naszego wuja, księcia elektora Falcgrafa, a Gaskold z początku był mu przeznaczony za towarzysza. Wtem kilka dni przed odjazdem Olbrachta książę ojciec oświadczył mu, że zmienił postanowienie i że Gaskold pozostanie w Birżach. Napróżno brat mój błagał, żeby go nie rozłączono z przyjacielem, gdyż wola ojca była niezachwiana. Przyczyną zaś tej zmiany były języki ludzkie. Rozstali się tedy przyjaciele smutkiem pograżeni, a co do mnie, wyznaję, że byłam szczęśliwą, iż codzień będę mogła patrzeć na Gaskolda, którego położenie w Birżach odtąd znacznie się pogorszyło, albowiem ze strony księstwa doznawał samej tylko oziębłości. Mimo to nikt nie domyślał się miłości naszej, chociaż sami nadto byliśmy o niej przekonani, lubośmy o tem z sobą nigdy nie mówili. Tak więc kochałam miłością czystą młodzieńca bezimiennego, sierotę bez krewnych.

Miałam już lat siedmnaście, gdy mnóstwo dostojnych kawalerów zaczęło się ubiegać o moją rękę, a między nimi książę Daniel Dorohostajski.

W tem zamieszaniu pragnęłam wyrugować z serca postać Gaskolda, więc dla wszystkich byłam grzeczną, uprzejmą, wielomówną, a co więcej że Gaskolda kilkakrotnie ani rzutem oka nie zaszczyliłam. Była to walka nad moje siły, to też razu jednego wróciwszy do mojej komnaty, straszny smutek mną owładnął. Nadaremnie usiłowałam zasnąć, a ponieważ upragniony sen nie kleił moich powiek, przeto powstawszy z łóżka w rannej szacie udałam się na balkon wychodzący z mojej sypialni, a z którego widok rozchodził się po ogrodzie zamkowym. Słońce zaczynało już wschodzić, budzę więc jedną z moich służebnic, każę jej wziąć naprędce jaką odzież i udać się ze mną do ogrodu. Zwolna wступujemy w ulicę kasztanową, wtem napotykam tego właśnie, którego troskliwie usiłowałam uniknąć. Siedział na kamiennej ławce, a tak był zatopiony w myślach, że nie spostrzegł mojego zbliżenia. Wszystkie moje postanowienia w jednej chwili wywrócone zostały. Gaskold przebudził się nakoniec ze swoich marzeń, powstał raptownie i pełnym uszanowania pokłonem innie powitał. Ja pierwsza do niego przemówiłam i stało się, że obaj wyznaliśmy przed sobą otwarcie naszą miłość, poczem Gaskold odkrył przede mną tajemnicę, że jest prawym synem i spadkobiercą kniazia Stefana Dorohostajskiego. Odtąd codziennie o tej samej godzinie spotykaliśmy się w tej alei, aż razu jednego mój luby mi oświadczył, że nazajutrz

opuści Birże w celu udania się do Manheimu, do brata mojego, chcąc u niego zasięgnąć rady, co nadal ma z sobą począć. Ja mu na to odpowiedziałam, że przez niego poszlę list bratu mojemu i o zwykłej godzinie przybędę do tej alei, która tyle razy była świadkiem naszych czułych rozmów.

Tu mi nadmienić wypada, że przez długi czas dyssydenci Litewscy dzielili się na dwa stronnictwa, którym po jednej stronie przywodził książe ojciec, a po drugiej książę Dorohostajski, prześladowca nieznanego mu Gaskolda. Wtem oba stronnictwa dotąd sobie niechętne, nagle się zjednoczyły, a wszyscy dyssydenci pragnęli ten związek uczynić jeszcze ściślejszym. Dziki Daniel ulegając ciągłym namowom, oświadczył się o moją rękę. Książę ojciec, jako mąż stanu, sprzyjał widokom kniazia, bo przez to połączenie zapewniłby sobie wyłączny kierunek całej Litwy. Ale że był czułym ojcem, oświadczył kniaziowi, że niczego tak wielce nie pragnie, jak nazwać go swoim synem, mimo to nie przyznaje sobie prawa przynaglać woli córki. Wszakże upoważnia go starać się o jej pozwolenie; że zaś serce tej córki jest wolne, więc pochlebia sobie, że wysokie przymioty kniazia zdołają z czasem szacunek jej ku niemu skłonić. Odtąd książę był tak dobrze, jak domownikiem w zamku Birżańskim i nie było zabiegu, któregooby zaniedbał, ażeby się mnie podobać, nadto śledził mnie na każdym kroku. Gdy więc nadszedł poranek, a z nim chwila

umówiona, w której miałam pożegnać się z Gaskoldem, zabrałam list do brata i udałam się do ogrodu, gdzie już mnie oczekiwał Gaskold. Oddawszy mu list, zajęłam miejsce na ławeczce i na zakład stałości zamieniliśmy z sobą pierścionki. Oboje byliśmy w zachwyceniu, Gaskold przytulił rękę moją do ust swoich, kładąc na niej ogniste pocałunki, kiedy raptem kniaź Daniel stanął przed nami na czele kilku swoich siepaczy. W znanej swej zaciekłości kazał bezbronnego Gaskolda powiesić na poblizkiej gałęzi. Nie widząc tedy żadnego sposobu ratunku, rzuciłam się do nóg okrutnika, błagając o życie tej niewinnej ofiary. Jakoż kniaź dał znak swoim oprawcom, aby się wstrzymali, przyczem stanęła między nami umowa, że zostanę jego małżonką, ale tylko dla oka ludzkiego, w gruncie rzeczy jednak żadnych praw małżeńskich do mnie rościć sobie nie będzie, Gaskoldowi zaś pozwoli swobodnie wynieść się z kraju i nigdy nie będzie nastawał ani na jego życie, ani też na wolność. Kniaź zgodził się na wszystko, a swoim przykazał, aby o tem, co widzieli, nikomu słowa nie rzekli, gdyż jeśliby który z nich z tem się wymówił, kazałby mu obcęgami wyrwać język. Stosownie więc do umowy zostałam żoną kniazia, żyjąc z nim na pozór dosyć przykładnie, ale w rzeczywistości każde z nas mieszkało osobno w swoich komnatach. A jednak umiałam zyskać jego szacunek do tego stopnia, że nawet Zawalidroga, ulu-



Rzuciłam się do nóg okrutnika, błagając o życie
tej niewinnej ofiary...

biony/jego Kozak, użalał się przed innymi sługami, że odkąd pan przywiózł żonkę do swojego zamku, on już nic u niego nie waży.

Wtem zaczęły nas coraz częściej dochodzić wieści o zwycięstwach Lizdejki, przeto książę pragnąc się z nim zmierzyć, rzadko tylko w zamku przebywał, ale na czele swoich żołnierzy szukał bitew z nieprzyjacielem. Książę-ojciec dowiedziawszy się o mojem osamotnieniu, a przewidując że nieprzyjaciół wkońcu mógłby się pokusić o zdobycie szturmem Dolskiego zamku, wyprawił do mnie Haraburdę, jednego z najzaufańszych swoich dworzan, z listami od rodziców do mnie i z rozkazem do gubernatora zamku, aby mnie jak najrychlej wyprawił do Warszawy, co też niebawem nastąpiło. Lecz zaraz po pierwszym popasie napotkaliśmy silny oddział Kazimierowczyków, na co Haraburda postanowił bronić się do upadłego. Wszelka troska jednak minęła natychmiast, kiedy usłyszałam nazwisko Lizdejki, a wkrótce on sam przybliżył się do mojej kolasy. Jakkolwiek kilka lat upłynęło od naszego rozestania, to jednak zaraz poznałam w nim brata mego Olbrachta. Z okrzykiem radości chciałam go powitać, lecz on mnie upominał w języku angielskim, żebym go nie zdradzała, objaśniając mnie o wszystkim, co mnie najwięcej obchodzić mogło. Oświadczył także, iż tylko o kilkadziesiąt kroków jestem od Gaskolda, ale nie pozwoli mi z nim się widzieć, gdyż to sprzeciwia-

łoby się mojej godności, zwłaszcza że wkrótce i tak wszyscy będziemy się widzieć w Warszawie. Następnie dał Haraburdzie pismo, które nas chronić miało od wszelkiej napaści w razie spotkania stronników królewskich, poczem zawrócił swojego rumaka i lotem strzały oddalił się ode mnie.

Odkąd jestem w Warszawie, rodzice otaczają mnie niebywałą troską, a chociaż przede mną nigdy nie zrobili wzmianki, przecie jestem przekonana, że walka tocząca się w mej duszy nie była dla nich tajemnicą. Od niejakiegoś też czasu zauważyłam jakąś oziębłość między księciem ojcem, a moim mężem. Kiedy zaś przed kilku dniami pojawił się tu ulubieniec kniazia, ów Zawalidroga, z piśmiennem wymaganiem od Dorohostajskiego, żeby księżę wyprawił mnie jak najrychlej do Dolska, a mnie dał rozkaz, żebym na wypadek niezezwolenia rodziców powierzyła się Zawalidrodze, wtedy księżę-ojciec powiedział, że nie chce swego dziecka narażać na podróż tak niebezpieczną, zwłaszcza że nie jest wykluczonem, ażeby ci, którym już raz udało się zamek Dolski zdobyć, nie pokusili się powtórnie go opanować. A kiedy Zawalidroga odważył się napomknąć, że pocziwa białogłowa winna być posłuszniejszą mężowi niż ojcu, wtenczas oburzenie księcia nie znało granic i począł krzyczeć: Nędzniku! powiedz swojemu panu, że musi jeszcze zachowywać jakieś względy u mnie, skoro jego posłannika nie kazałem powiesić na wałach mojego

pałacu. Nie powinien też książę wojewoda tak bardzo występować z prawami męża nad żoną gdyż dobrze wie, jakie to jego małżeństwo. — Wtedy pierwszy raz się dowiedziałem, że rodzaj moich stosunków z księciem Danielem nie był dla księcia ojca pokrytym tajemnicą. Lecz cóż to wszystko pomoże i jakiej mogę jeszcze spodziewać się przyszłości? Miłuję Gaskolda nad życie, a jednak mojej sławy nigdy temu uczuciu nie poświęcę...

Zagadałyśmy się jednak na dobre, a ja przed wieczorem jeszcze stanąć muszę w Grzybowie, aby za zgodą księcia ojca sprowadzić do zamku kniahinię Stefanową, a matkę Gaskolda, która znikąd nie doznając pomocy, smutny pędzi tam żywot u pewnej ubogiej szlachcianki. Znam ją dopiero od dnia wczorajszego, a już miłujemy się nawzajem, jakbyśmy z sobą całe życie się nie rozstawały. To też wybacz droga Elżusiu, że niebawem przedsięwzięcia dokonam, zwłaszcza że pojazd, jak widzę, od godnej już chwili na mnie czeka.

*

*

*

Przybywszy do Grzybowa, Eleonora według podanych sobie wskazówek wkrótce odszukała mieszkanie kniahini Wilhelminy, a zabrawszy ją do swej kolasy, wracała w towarzystwie jednego hajduka do Warszawy. Wtem stanęła im w drodze karoca z ośmiu końmi i ani się spostrzegli, jak ich otoczyło kilkunastu Kozaków, a na ich czele



Jakoż po zaciętej i długotrwałej walce zwyciężyli napastników kniahini...

Zawalidroga, z ruska oświadczający wojewodzinie, że jest posłany od pana, aby ją przywiózł do niego. Poznała kniahini wojewodzina, że wszelki opór na nicby się przydał, dlatego wyszła z kolasy, oparta na swojej towarzyszce, o którą więcej się lękała aniżeli o samą siebie i obie panie siadły do pojazdu dla nich przeznaczonego.

Stało się jednak, że o staję od karczmy, w której zostawiliśmy Gaskolda z Odyńcem, zepsuła się nagle oś u karety Zawalidrogowej. Wśród ciemności nocnych domagano się więc pomocy u karczmarza, oświadczając zarazem że należą do dworu kniazia Dorohostajskiego. Słyszając to Gaskold, jak najmocniej był przekonany, iż tu kogoś gwałtem uwożą, więc bądź co bądź postanowił karete gwałtem odbić. Jakoż po zaciętej i długotrwałej walce zwyciężyli napastników kniahini, zwłaszcza że na powstały krzyk przybyli im na pomoc okoliczni włościanie. Kilku Kozaków uciekło, a ранnego Zawalidrogę wzięto do niewoli. Trudno opisać radość, jaka powstała, gdy się przekonano kogo wyratowali, a kniahini Wilhelmina zawisła u szyi swego jedynaka, oblewając lica jego łzami radości.

*

*

*

Książę Radziwiłł właśnie przechodził się na dziedzińcu zamkowym, ponuro spoglądając przed siebie, gdy wtem dano mu znać o szczęśliwym powrocie JW. wojewodziny. To też niezwłocznie

pobiegłszy jej naprzeciw, wziął ją w swoje objęcia i nic nie zdoławszy wypowiedzieć, rzęsistemi łzami zrosił jej lica. Wyszedł dopiero z rozrzewnienia, kiedy pan Odyniec przystąpił do niego, oddając mu listy i począł zdawać sprawę z swego poselstwa, nadmieniając, że wkrótce do Warszawy przybędzie król Jegomość w towarzystwie księcia Olbrachta, który o wszystkim innem Jego Książęć Mość objaśni. Podał tedy książę z uszanowaniem rękę kniahini, żeby ją wprowadzić do komnaty dla niej przeznaczonej, a księżna Bogusławowa oparła się na ramieniu Gaskolda. Była przepelniona radością, bo drogie otaczały ją osoby, a nadto miała nadzieję wkrótce ujrzeć najdroższego swego jedynaka. Zaledwo wyszła z rozrzewnienia, już tysiące pytań zadawała Gaskoldowi o swoim Olbrachcie, wkońcu zaś porwała Gaskolda do swojej komaty, żeby z nim nagadać się do woli. Zawalidrogę natomiast wtrącił książę do więzienia zamkowego.

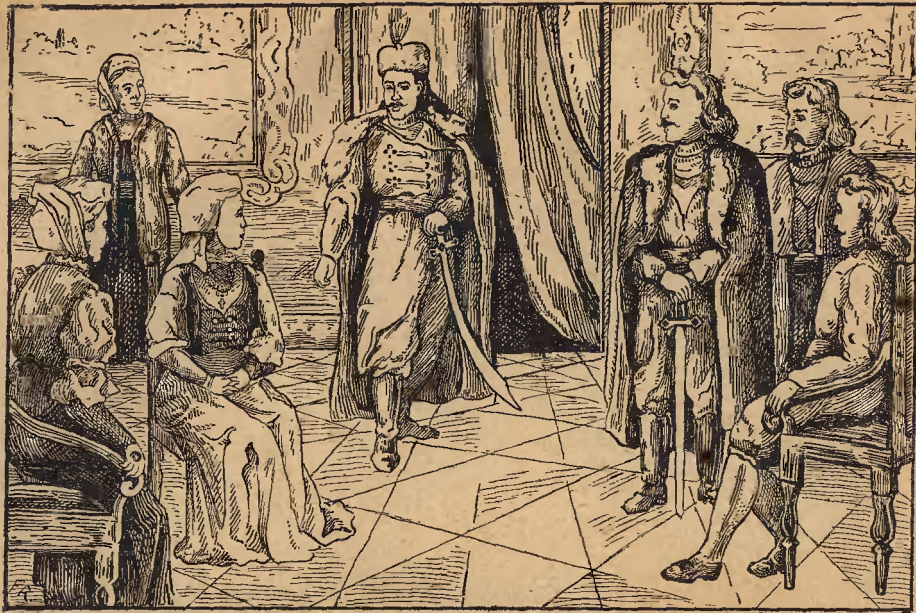
VII.

Po całym mieście gruchnęła wiadomość, że młody książę Dorohostajski, który pod imieniem Gaskolda jako wierny towarzysz broni księcia Olbrachta Radziwiłła czyli rycerza Lizdejki, tyle sławy z nim pospołu uzyskał w obozach królewskich, znajduje się w pałacu Radziwiłłowskim. Nadto opowiadano sobie, jako po nierównej walce udało

mu się uwolnić księżniczkę porwaną przez ludzi kniazia Daniela, i że teraz wyprzedza przyjazd zwycięskiego króla do stolicy.

Mieszczanie łaknęli oglądania króla, a szlachta i ziemiaństwo spodziewali się rozlicznych uczty, któremi Jan Kazimierz przyjmowan będzie w Warszawie. Jednakże zawiedli się w swych oczekiwaniach. Król bowiem uwzględniając zubożenie szlachty, nie chciał jej narażać na nowe szkody. Poruczywszy przeto wojsko hetmanom Potockiemu i Lubomirskiemu, sam we dwa pojazdy jak najspieszniej udał się do Warszawy. Pierwszym pojazdem była poczwórna kareta, w której zajął miejsce król z ulubieńcem swoim księciem Olbrachtem i Janem Krasińskim, podskarbin Koronnym. Drugi pojazd był tak nazwaną skarbnicą i w niej były też sprzęty niezbędne dla króla i jego towarzyszków. Oprócz szatnego królewskiego i jego nadwornego lekarza, umieszczono tamże jeszcze znanego nam Josia Dreczkiera, który po wypędzeniu Szwedów całkiem oddał się na usługi sprawy królewskiej, ofiarując na ten cel nie tylko własne pieniądze, ale i te, które mu dostarczał kredyt, jaki miał u żydów. A że pieniądź w zubożonym naówczas kraju miał niezmierną wartość, nic więc dziwnego, że Joś Dreczkier temi przysługami utorował sobie drogę do serca swojego pana.

Księżę Bogusław coprawda oczekiwał przybycia królewskiego, jednak nie spodziewał się go aż



Po tych pierwszych wybuchach miłości macierzyńskiej, książę Olbracht uściskał siostrę, a następnie przywitał się z resztą obecnych...

za kilka dni. Był już wieczór, cała rodzina zebrana była w komnacie księżnej marszałkowej, a z nią kniahini Wilhelmina i jej syn, których księstwo uważało jako członków rodziny. Był także pan Dawid, aby księstwu szczegółowo opowiedzieć czyny bohaterskie księcia Olbrachta i kniazia Wojciecha, który z wrodzonej skromności o sobie wszystko zatajał, kiedy nagle drzwi do komnaty się rozwarły i pokazał się rycerz w podróżnym ubraniu. To niespodziane przybycie wszystkich zdziwiło. Wtem kniaź Wojciech i pan Odyniec jednocześnie krzyknęli: Rycerz Lizdejko! — ten zaś padł jak długi do nóg ojca. Wskutek gwałtownego wzruszenia księżna matka zemdląła, a ksiązę podnosząc syna, rady sobie dać nie umiał, dopóki księżna nie przyszła do przytomności. Po tych pierwszych wybuchach miłości macierzyńskiej, ksiązę Olbracht uściskał siostrę, a następnie przywitał się z resztą obecnych. Uniesiony uczuciem natury, zapomniawszy na chwilę o poselstwie powierzonym mu przez Najjaśniejszego pana, dlatego niezwłocznie książęcemu ojcu swemu oświadczył, iż król życzy sobie, aby jeszcze dziś stanął przed nim. Odnaleźć go można w rynku Starego Miasta, w kamienicy Starościńskiej, gdzie tymczasowo obrał sobie mieszkanie.

— Jako! Król w Warszawie? Wiem, jaka teraz moja powinność. Mości księżno, zostawiam imości naszego Olbrachta, a sam biegnę do króla.

— To rzekłszy, wyszedł, a za nim ksiązę Olbracht, żeby go odprowadzić na dziedziniec.

Gdy ksiązę Bogusław przybył do kamienicy zaszczyconej pobytem ojca i pana narodu, zastał w przedpokoju przy drzwiach wiodących do komnat królewskich znanego mu dobrze Josia Dreczkiera, który go przywitał głębokiem skłonieniem głowy. Niebawem stanął też sam król w przedpokoju, a ksiązę skoro go spostrzegł, padł mu do nóg jak długi, chcąc coś powiedzieć o swej skrusze za przewinienia, lecz król nie dał mu mówić, a tylko wziął go za rękę i wprowadził do swojej komnaty. To posłuchanie trwało więcej godziny, poczem ksiązę otworzył drzwi i przywołał Josia Dreczkiera, którego postanowił wysłać z poselstwem do kniazia Daniela Dorohostajskiego, ufając w dar jego wymowy i roztropny rozum; poprzednio jednak trzeba było objaśnić Josia Dreczkiera o wszelkich stawianych warunkach.

*

*

*

Podczas kiedy cała Rzeczpospolita wracała do posłuszeństwa swojemu prawemu królowi, a zagraniczne mocarstwa zawierały z nim pokój, jeden tylko kniaź Dorohostajski żadnego kroku nie chciał uczynić do pojednania się z królem. Tedy hetman Gąsiewski zmuszony był wystąpić zbrojnie przeciw kniaziowi, z której to przyczyny wszczęła się żarta bitwa. Zarówno hetman jako i kniaź, szukali

zwycięstwa lub śmierci. Przez sześć godzin szala ważyła się między nimi, już hetman był blizkim rozpaczy, ale szczęśliwie dokonany obrót przez jednego z walecznych dowódców, rozstrzygnął wahaające się szczęście na stronę hetmana. Napróżno książę dokazywał cudów waleczności, a wkońcu przekonawszy się, że wszelki opór na nicby się przydał, z wściekłością w sercu wziął się do odwrotu. Poznawszy zaś, że nie było sposobu potykać się w otwartem polu z hetmanem, postanowił zamknąć się w Dolsku, aby stamtąd mógł bronić się korzystniej. Łatwo można sobie wyobrazić, co się dzieć musiało w jego gwałtownej duszy, gdy po swoim powrocie do domu dowiedział się, że nie tylko iż porwanie kniahini się nie udało, lecz że nawet Zawalidroga padł ofiarą napadu. Tymczasem hetman postępował i wkrótce stanął pod murami Dolska, a ponieważ książę ofiarowane warunki poddania zamku odrzucił, przeto rozpoczęto oblężenie. Jednego razu siedział książę pogrążony w myślach, gdy raptem wszedł do komnaty oficer dowodzący wartą, donosząc że jakiś żyd przybył pod główną bramę Dolska, który w interesie bardzo ważnym chce się widzieć z kniaziem.

— A, przyprowadź go waść do mnie i zostaw mnie z nim samego.

Za kilka chwil wszedł do komnaty Joś Dreczkie i nisko się uklonił. Książę poznawszy go, zapytał coby sobie życzył. Tedy sprytny żydowina

użył wszelkiej sztuki swej wymowy, oświadczając, że król, książę marszałek i wszyscy przysłali go, aby książę oddał zamek i załogę hetmanowi, nadto kniazia Wojciecha przyznał za bratanka i oddał mu majątek swego ojca, a w dodatku podpisał dokument, że godzi się na unieważnienie nieprawego małżeństwa z księżniczką Eleonorą, co w wierze dyssydenckiej było dozwolonem. Książę Daniel na taką wiadomość sromął się okrutnie i rozgoryczony z trudem przenosił się z miejsca na miejsce, bo rana, którą kiedyś dostał w nogę, tej nocy się otworzyła, strasznie mu dokuczając. Ubolewał też nad utratą ukochanego swego Zawalidrogi, myślał bowiem, że tenże już nie żyje. Dopiero gdy Józef Dreczkier oświadczył, że Zawalidroga tylko był rannym, obecnie zaś znajduje się w obozie hetmańskim i z chwilą podpisania kapitulacyi wypuszczonym zostanie na wolność, aby nadal panu swemu wiernie mógł służyć, książę Daniel zamilkł, jakoby chciał skupić wszystkie zdolności skołatanego umysłu. Wreszcie zażądał dokumentu i podpisał, godząc się na wszystkie warunki.

*

*

*

Kilka tygodni upłynęło, kniaziowi noga powoli się zagoiła, ale zauważono wielką odmianę w sposobie jego życia. Nie będąc już samowładnym panem w Dolsku, tem samem nie pozwalał sobie tych wybryków gwałtownych, które niegdyś przerażały

strachem wszystkich, co go otaczali. Z komnaty nie wychodził, do stajni nie zazierał, a jeżeli kiedy dał się widzieć sługom, to zawsze z obliczem ponurem, ciągle roztargniony i do żadnego z nich nie przemówił. Najczęściej zamykał się w swojej komnacie, albo sam albo też z Zawalidrogą, z którym jedynie rozmawiał.

Coprawda, książę Daniel tak bardzo nie miał prawa narzekać na swój los, albowiem hetman nadspodziewanie usłużył mu się w Warszawie. Choć postradał żonę, to jednak od czasu utracenia swych wpływów jako przywódca silnej partii dyssydentów, nie wiele mu na niej zależało. Mogło mu być jedynie przykro, że musiał przyznać za synowca Gaskolda, zawsze od niego prześladowanego, ale do tego był przygotowany tem więcej, że Gaskold przyjechawszy do Dolska, upadł stryjowi do nóg i oświadczył, że o nic innego się nie dopomina i dopominać nie będzie, tylko o łaskę i błogosławieństwo stryjowskie. Całe życie będzie też starał się na nią zasłużyć i książę nie będzie miał w nim tylko synowca, ale najposłusznieszego syna. A co było najPOCHLEBNIJSZYM dla jego miłości własnej, że Gaskold złożył mu własnoręczny list króla, w którym tenże wracał mu dawną życzliwość i wszystkie dostojęstwa, jakie piastował. Kończył się list zaproszeniem kniazia na sejm następujący, żeby jak dawniej był jego wiernym doradcą i przyjacielem.

Wszystko to powinno było aż nadto zadowolić dumnego kniazia. Mimo to synowca przyjął niby grzecznie, ale dosyć oziębło, na co kniaź Wojciech był jednak wyrozumiały. Spodziewał się, że czas, ten wielki lekarz, wkońcu zbliży serce stryja do niego. Umiał on bowiem poznać, że niewinnie skrzywdzony zawsze jest łatwiejszy do pojednania, aniżeli ten, co mu zadał krzywdę. Tak więc nie chcąc się naprzykrzać stryjowi, obrał na miejsce stałego pobytu Maniewiczze, gdzie oczekiwał na księcia Olbrachta i panią wojewodzinę, jego siostrę, która wraz z kniahinią Stefanową miała na czas jakiś zamieszkać w tych swoich dobrach. Atoli często przyjeżdżał do stryja, żeby go przynajmniej do siebie przyzwyczaić. Kniaź zawsze nieprzystępny, zawsze ponury, nie zdawał się być pocieszonym ani powolnością synowca, ani nawet łaską królewską. To też wkrótce wyprawił posłańca z najbardziej poddanym listem do króla, w którym dziękował za senatorską godność i zrzekał się starostw, jakie posiadał. Tłumaczył się tem, że wiek stargany pracą nie pozwala mu dalej piastować tych dostojenstw.

Wtem jednego poranku doniesiono kniaziowi, że książę Olbracht Radziwiłł, generał artylerji Litewskiej, z synowcem pańskim zajechali na dziedziniec zamkowy i proszą kniazia o pozwolenie stawienia się przed nim.

Czy te odwiedziny były mu przyjemne lub nie, tego nikt odgadnąć nie zdołał, ale to pewna, że kniaź

natychmiast zerwał się z krzesła i podążył naprzeciw, aby w ganku przyjąć dostojnego gościa, poczem wprowadził go przed sobą do komnat. Książę Wojciech pocałował stryja w rękę, który tę oznakę uszanowania jak zwykle przyjął dość obojętnie. Wreszcie ksiązę Olbracht tak się odezwał:

— Mości wojewodo, byliśmy z sobą braćmi, a chociaż dawne związki łączące go z moją siostrą są zerwane, to jednak nas pocieszać powinno, że inne stosunki na nowo połączą nasze domy ogniwami już nierozzerwalnemi. Oto ten mój przyjaciel i godny synowiec waszmości, otrzymał od moich rodziców i mojej siostry obietnicę jej ręki. Sam król o to w jego imieniu prosił. Chce on jednak uzyskać także błogosławieństwo stryja, w którym pragnie widzieć ojca; pełen zaś nieśmiałości zażądał mojego wstawienia się za nim. Tuszę przeto nadzieję, że waszmość mu swojego błogosławieństwa nie odmówisz, zwłaszcza że siostra moja, która przedwczoraj przybyła do swoich Maniewicz, nie może stanowczo nic przedsięwziąć, dopóki przyszły jej mąż nie otrzyma na ten związek przyzwolenia i błogosławieństwa stryjowskiego. Mości wojewodo, nie zatwardzaj twojego serca i nie gardź przyjaźnią całego naszego domu. Przyciśnij do łona przywiązanego synowca, który wszystkie swoje krzywdy już zapomniał.

Tu książę Wojciech znowu padł do nóg stryjowi, a ten go podniósł, oświadczając zarazem, że ze-

zwala na jego związek małżeński i daje swoje błogosławieństwo. Nawet go przycisnął do swoich piersi, ale poznać było można, że to wszystko tylko było wymuszone.

Kniaź Daniel wreszcie zdawał się być tak dalece udobruchanym, że sam się zaprosił na obiad na dzień pojutrzny, dla złożenia osobistych ukłonów przed swoją niegdyś małżonką, a przyszłą synowicą, poczem goście odjechali pełni dobrych nadziei na przyszłość.

Stosownie do oświadczenia były wojewoda przyjechał do Maniewicz, gdzie go przyjęto jako ojca. Wojewodzina mimo przykrych wspomnień, z wrodzoną Polkom delikatnością pokazała się dla niego tak uprzejmą i troskliwą o zaskarbienie sobie na zawsze jego przyjaźni, że nie było serca tak twardego, którego by do siebie nie skłoniła i zdawało się, że zupełne zwycięstwo odniosła nad nieugiętym kniazem. Nie tylko że kilkakrotnie ucałował jej ręce, życząc przyszłego szczęścia z jego synowcem, ale nawet pierwszy raz temuż synowcowi okazał jakieś spółczucie, a kniahinię Stefanową uściskał jako siostrę i przepraszał za doznane przykrości i prześladowania, składając wszystko na zawziętość matki, która na śmiertelnem łożu wymogła od niego obietnicę, że nigdy nie okaże się życzliwym ani dla niej, ani dla jej syna.

— Daję moje błogosławieństwo synowcowi Wojciechowi — dodał wkońcu — i ustępstwo przy-

należnych mu dóbr, za co niczego nie śmiem żądać, tylko żebyście mi jedną łaskę zrobili.

— Wszystko co każesz, będzie spełnione — wykrzyknęli razem obecni.

— Oto żebyście wspólnie, jak jesteście, raczyli mnie odwiedzić w ojczystym Dolsku, który już nie moja, ale będzie własnością mojego synowca. Niech was tamże przyjmując, po raz ostatni spełnię obowiązki gospodarza.

— Najchętniej wszyscy służyć będziemy — odezwał się książę Olbracht — a ponieważ za cztery dni przypada św. Daniel, więc na ten dzień zjedziemy do zamku Dolskiego, ażeby móż obchodzić zawsze dla nas miłą uroczystość jego imienia.

Książę za tę łaskawą pamięć podziękował, a opuszczając Maniewicze, wszystkim podał przyjacielskie dłonie, dla bratowej zaś dotąd prześladowanej, tyle był uprzejmym, że po odejździe jego oświadczyła, iż od chwili zgonu jej męża pierwszy raz uczuła się zupełnie szczęśliwą. Powróciwszy do zamku, zalecił książę marszałkowi swojego dworu, aby wszystko przysposobił do należytego przyjęcia tak dostojnych gości. Dodał także, ażeby nikogo więcej nie przyjmował w dniu uczyty, gdyż ma to być zgromadzenie wyłącznie rodzinne, w którym każdy obcy byłby natrętnym.

Przez te kilka dni książę był jeszcze mniej dostępnym niż kiedykolwiek. Ciągłe był zamknięty z Zawalidrogą i bez świadków z nim rozmawiał.

Raz tylko i to nazajutrz po swoim powrocie, jego niegdyś pełnomocnik mieszkający w bliskości Dol-ska na wiosce, którą posiadał prawem dożywotniem, przybył do zamku i przywołany został do komnaty kniazia. Około godziny coś pisał, a potem poże-gnał kniazia.

Dworzanie i słudzy oczekiwali z niecierpliwo-ścią przybycia księcia Olbrachta z ich przyszłym panem, gdyż w tem przybyciu upatrywali rozwią-zanie wszystkich niepewności o dalszym losie. Ka-żdy należący do usług kniazia chodził jak nie swój, czegoś obawiał się, sam nie wiedząc czego. Żeby przynajmniej mógł widzieć pana, możeby jakąś wieszczbę na jego obliczu wyczytał; ale ten ni-komu się nie pokazywał. Jeden tylko Zawalidroga miał każdego czasu przystęp do jego osoby, noco-wał z nim w jednej komnacie, a w dzień po kilka razy chodził do piwnicy z latarnią, w niej się za-mykał, potem wynosił z niej kilka butelek wina, z którymi szedł do pana, nie zaniedbawszy za-mknąć za sobą drzwi od piwnicy, która była pod samymi pokojami kniazia. Wszystko to powtarzało się kilka razy na dobę, przeto sądzono, że kniaź unika widoku ludzi, aby się upijać swobodnie ze swoim Zawalidrogą.

Wreszcie nadszedł dzień z upragnieniem oczekiwany. Kniaź jeszcze leżał, kiedy Zawalidroga przybliżył się do łóżka swojego pana i ucałował jego nogi, winszując mu imienin.

Kniaź wyciągnął ku niemu dłonie i ucałował go, nie jak zwykłego służalca, ale jako przyjaciela i brata.

— Wierny sługo, bracie mój — rzekł do niego — czy wszystko już przygotowane według naszego układu?

— Wszystko, panie! Prochu tyle zastałem w piwnicy, że nie jeden, ale dziesięć takich zamków możnaby wysadzić w powietrze. Jak goście po obiedzie będą się z panem bawić, a pan wystrzelisz z tej armatki, co tu stoi na oknie, już ja zrozumien, co wszystko znaczy. Słomę, którą założyłem w piwnicy, zapalę, która niebawem proch zajmie, a tu zjadłszy obiad, wszyscy na tamtym świecie będziemy mieli wieczerzę.

— Ja żyć nie mogę, doczekawszy się hańby mojego rodzowego nazwiska. Niech ono raczej przepadnie, niżby miało być noszone przez tego bękarta, którego przemoc zrobiła moim synowcem. Czuję przeto niewypowiedzianą rozkosz, że tych wszystkich wrogów moich w przepaść z sobą wtrącam, ale ty, mój pocziwcze, czemu masz ginąć z nami? Przygotuj lonty, zapal je skoro wystrzelę, ale zaraz uciekaj, aby ocalić własne życie.

— Ja miałbym zostać na świecie bez pana? Nie, tego Zawalidroga nie zdolny uczynić! Wiernie panu służyłem na tym świecie, więc i na tamten chcę zanieść służbę nieskażoną. Też same piersi i pana i mnie wykarmiły, wzrosliśmy razem, pan

byłeś zawsze dla mnie ojcem, bratem, cóżby się stało ze mną sierotą bez niego? Zawsze chciałem za pana lub z panem umierać.

Kniaź ani słowa nie był w stanie wymówić i takie było ich ostatnie pożegnanie, bo już tylko na tamtym świecie mieli się spotkać. Tymczasem słońce posuwało się coraz wyżej poza chmurami, jak gdyby nie chciało przyświecać scenie, która miała nastąpić. Po gościńcu zaś między Dolskiem a Maniewiczami toczyła się poczwórna karetą. W tyle siedziała kniahini Stefanowa i nadobna Eleonora, na przodzie książę Olbracht i kniaź Wojciech. Podróż odbywała się szybko, gdyż po drodze były porozstawiane zaprzęgi, to też po kilkogodzinnej podróży dały się widzieć baszty Dolskiego zamku, na który widok wojewodzina raptownie zbladła. Wnet przejechawszy przez miasteczko, stanęli przed bramą, przebywszy most spuszczoney. Dowódca warty przybliżył się do karety i opowiedział się przed generałem artyleryi. Teraz pojazd bez przeszkody zajechał przed zamek, Eleonora zaś drżała jak listek, sama nie znając przyczyny tej obawy.

Przed gankiem zamkowym oczekiwał ich kniaź Daniel. Sam podał im rękę, żeby ich wyprowadzić z pojazdu i zaprowadził ich do swoich komnat. Na jego twarzy wyrażało się zadowolenie, ale równocześnie coś dzikiego, co na wstępie przerażało Eleonorę.

Kniaź Daniel prowadził bratową, księżę Olbracht siostrę, która oparta na jego ramieniu, swojej niespokojności utaić nie mogła. — Wszyscy weszli do komnaty kniazia, który ciągle okazywał się uprzejmym w przyjmowaniu miłych gości, i niejednokrotnie raczył im dziękować za ich przybycie, oświadczając, że ten dzień poczytuje za najszcześniejszy dla siebie.

Kiedy weszli do komnaty, było samo południe i nie trwało długo, a marszałek nadworny kniazia oznajmił, że obiad gotowy. W pięciu siedli za stołem; rozmowa wkrótce przybrała tok o tyle pożyteczny, że nawet wojewodzina uspokoiła się z pomimowolnej bojaźni, a nawet wyrzucała ją sobie. Obiad przeplatany różnemi zdrowiami, które kniaź wznosił, skończył się nareszcie i wszyscy wrócili do komnaty kniazia; w niej na stole znajdowała się taca, na niej dwie butelki wina, kilka kieliszków i zapalona świeca.

— Mili goście — odezwał się kniaź Daniel — wypijmy wszyscy razem na trwałość naszego zjednoczenia! — i napełnił kieliszki, które wszyscy ochoczo spełnili. — Niechaj wszakże ta zgoda głośną będzie — dodał z dzikim uśmiechem i zapalił armatkę stojącą na oknie; — a spodziewam się, że ta zgoda będzie trwała, kiedyśmy ją zawarli przed progiem śmierci!

— Co to ma znaczyć? — zapytał go księżę Olbracht.



1 zapalił armatkę stojącą na oknie...

— Czyście mogli się spodziewać, żeby książę Daniel dał sobie bezkarnie zwyciężyć? Żeby dopuścić temu nędzarzowi i tej wiarołomnej żonie cieszyć się jego spadkiem, splamiwszy jego nazwisko? Wpadłem w przepaść, ale i was wszystkich za sobą pociągnąłem! za chwil kilka z zamkiem i wami ostatni prawdziwy Dorohostajski wyleci w powietrze!

— Zdrajco! — odezwała się Eleonora — tuląc się do brata i narzeczonego — czy tak dotrzymałeś słowo rycerskie, coś mi je dał w ogrodzie Birżańskim?

— To com przyrzekł, dotrzymuję; dałem słowo, że ten samozwaniec nie ma się ode mnie lękać niebezpieczeństwa, którego bym sam nie podzielał.

— Nędzarzu! — wykrzyknął książę Olbracht i położył dłoń na rękojeści swej szabli.

Na to książę parsknął śmiechem: Swoim orężem chcesz mnie zastraszyć? A dobrze! Zaczniemy bitwę, ale ona tu niedługo potrwa, gdyż chyba na drugim świecie ją skończymy.

Wtem gęsty dym zapalanej słomy wzniosł się poza oknami, raptem zrobiło się ciemno, powstał huk, a za chwil kilka widać było tylko same rumowiska.

Taki był koniec rodu Dorohostajskich.

